W numerze: W poszukiwaniu minionego czasu • Kieleckie drogi, polskie drogi
Akcja „Teutoński miecz" • Praska rozmowa o filmie • Twarz z wosku
Recenzje • Felietony • Polonica

odgłosu

TYGODNIK ROK VII

Nr 42 (346)
18. X. 1964 R.
10 stron
CENA 1 ZŁ

ANDRZEJ BERKOWICZ

HANDEL „Sprawiedliwością"

Z góry proszę Czytelnika o wybaczenie, że nie jestem w stanie przedstawić wszystkich „bohaterów", którzy powinni wystąpić w tej historii, a to z dwu powodów:

— Po pierwsze — reportaż ten byłby wtedy zbyt podobny do znanego dowcipu o wariatach i książce telefonicznej — „bohaterów" byłoby zbyt wielu.

— Po drugie — interesy, o których będzie mowa są natury nieco delikatnej. Ci co dają łapówki i ci co je biorą niezwykli wystawiać pokwitowań. Interesy takie załatwia się na ogół w cztery oczy. Z konieczności więc ograniczymy się do ludzi, których akt oskarżenia wymienia z imienia i nazwiska. A w procesie, który właśnie się toczy i tak na ławie oskarżonych zasiadło 21 osób... Historia każdej z nich to temat na duży romans kryminalny. Niestety, jestem reporterem a nie autorem.

1.

A więc uwaga! Zaczynamy! Proszę wstać! Sąd idzie! Bohaterowie wchodzą na plan!

Henryk Głąbik, z zawodu lekarz, ostatnio dyrektor szpitala więziennego w Łodzi, żonaty, dwoje dorosłych dzieci, na które prawdopodobnie dużo wydawał. Akt oskarżenia zarzuca mu popełnienie 38 przestępczych czynów z rozmaitych paragrafów, dla nas, laików, wystarczy stwierdzenie, że oskarżony brał łapówki za fałszywe orzeczenia o stanie zdrowia więźniów. Dr Głąbik bardzo się bał Cyganów i z prawdziwą ulgą powitał prokuratora, który przyszedł go aresztować. Dlaczego? — rzecz się wyjaśni później.

Józef Zygmunt Niedźwiedzki, z zawodu prawnik, kiedyś sędzia, ostatnio adwokat łódzki. Człowiek o wielkich znajomościach w Łodzi, akt oskarżenia zarzuca mu popełnienie 21 czynów przestępczych. Mecenas Niedźwiedzki prawie do niczego nie przyznaje się, gdyby przemówił nasza opowieść byłaby znacznie pełniejsza...

Stanisław Ciesielski, kolega po fachu Niedźwiedzkiego, jak fama głosi znacznie jednak lepszy adwokat, a poza tym droższy. Zarówno co do honorariów jak i łapówek. Początkowo sprawił kłopoty aresztującemu go prokuratorowi, bo usiłował popełnić samobójstwo, później jednak już ułatwiał pracę, a to swoim przyznaniem się do zarzucanych mu czynów przestępczych.

Zygmunt Nowakowski, z zawodu majster tkacki, ostatnio zastępca dyrektora Zakładów Tkanin Technicznych w Łodzi — człowiek, który kradł i dawał łapówki, ale w końcu chciał zrzucić ciężar z sumienia i spać spokojnie...

Aleksander Reichert, formalnie właściciel, a później nawet tylko dzierżawca, warsztatu dziewiarskiego, faktycznie łódzki król firanek. Chciał bardzo dużo zapłacić za swoją wolność i rzeczywiście zapłacił. W wolnych chwilach lubi pisać wiersze.

Trojan Kwiek — król cygański, w cywilu prezes spółdzielni kotlarskiej w Łodzi. Uważał, że jak zapłacił 100 tys. zł, to ma prawo oczekiwać od sądu „wyroku uczciwego".

Krystyna Wojtyra-Klinger, jedyna wśród naszych głównych bohaterów nie oskarżona, a biorąca udział w procesie tylko w charakterze świadka, za to bardzo ważnego. Kobieta, która przekonała się na własnej skórze, że z kliką niebezpiecznie jest zadzierać... Miała z tego powodu multum kłopotów.

Poza tym w naszej opowieści wystąpią inne, drobniejsze osoby dramatu.

Jak każą dobre obyczaje, kiedy bohaterowie są już przedstawieni, należy zawiązać intrygę. A więc...

2.

Wiosna 1962 roku. Łódzka Komenda MO i Prokuratura prowadzą śledztwo przeciwko, znanemu nam ze wstępnej prezentacji, Zygmuntowi Nowakowskiemu, podejrzanemu o przywłaszczenie sporych ilości przędzy stylonowej. Sprawa zapowiada się nudnie, podejrzany przyznaje się do winy, są też na to dowody, nic więc nie zwiastuje żadnej sensacji. Śledztwo jakich wiele, nudzą się więc prokuratorzy, nudzą się oficerowie MO... W pewnej jednak chwili przestają się nudzić bo oto Zygmunt Nowakowski prosi o pozwolenie złożenia dodatkowych wyjaśnień.

Nie dysponujemy, niestety, dokładnym zapisem słów byłego zastępcy dyrektora Zakładów Tkanin Technicznych w Łodzi, mniej więcej jednak sens ich był następujący:

Zostanę na pewno skazany i wyrok odsiedzę. Ale chciałbym już mieć spokój, a nie żebyście po kilku latach wytoczyli mi nowy proces. Dlatego pragnę już powiedzieć wszystko, ale w tym celu muszę się cofnąć do wydarzeń jeszcze z 1957 roku...

I Nowakowski zaczął opowiadać historię zgoła sensacyjną, którą własnymi słowami przedstawimy możliwie wiernie.

Otóż po raz pierwszy powinęła się noga dyrektorowi Nowakowskiemu, gdy w marcu 1957 roku milicja łódzka aresztowała niejakiego Wacława Styczyńskiego, pod zarzutem przywłaszczenia 204 kg przędzy stylonowej. Styczyński trzymał się co prawda dzielnie i nie „sypnął" na przesłuchaniu Nowakowskiego, który mu tę przędzę wydał, ale dyrektor nie miał wcale pewności czy jego wspólnik będzie dalej tak chwalebnie milczał. Postanowił więc kupić sobie jego milczenie za cenę wyciągnięcia go z opałów czyli z aresztu. Początkowo starał się poprzez niejakiego Heina, który mu opowiadał cuda o swoich znajomościach w MO, nie dało to jednak żadnych rezultatów. Styczyński dalej siedział... Wreszcie jednak trafił na właściwego człowieka. Jest nim, też już nam znany, adwokat Niedźwiedzki. Do niego Nowakowski ma zaufanie, był kiedyś przecież sędzią, jasne więc, że z tego okresu musieli mu pozostać znajomi w organach wymiaru sprawiedliwości. I rzeczywiście mecenas Niedźwiedzki chełpi się przed Nowakowskim swoimi wpływowymi znajomościami. Za każdy jednak uchylony areszt (oprócz Styczyńskiego Nowakowski chciał wyciągnąć z aresztu innych swoich wspólników od przędzy) Niedźwiedzki zażądał sumy 10 tys. złotych. Cena ta nie wydała się Nowakowskiemu wygórowana, od razu więc wręczył mecenasowi 8 tysięcy, przyrzekając później dalsze wpłaty.

Stawka podyktowana przez Niedźwiedzkiego nie była zbyt wysoka, przekonamy się później, że wolność w tym handlu „sprawiedliwością" kosztowała nieraz bardzo dużo. Nowakowski więc albo był skąpy albo też nie miał po prostu pieniędzy... 15 tysięcy wziął bowiem od żony Styczyńskiego, w końcu szło przecież o wolność jej męża, a trzy tysiące zebrał wśród pracowników spółdzielni, która zatrudniała pechowego złodzieja przędzy stylonowej. Taka koleżeńska zbiórka... Niedźwiedzki ponaglał o dalsze wpłaty ale dyrektor wymawiał się brakiem gotówki. Niemniej postanowieniem Sądu Powiatowego z dnia 6 czerwca 1957 roku uchylony został areszt tymczasowy wobec Wacława Styczyńskiego... Sąd zastosował jednak areszt wobec innego podejrzanego w tej sprawie, za którego Nowakowski nie zapłacił...

Dalszy ciąg na str. 6

JERZY DARNAL

DOKTOR JUDYM SPOD SZTANCY

„Produkcja" lekarzy w Polsce mniej więcej od lat pięćdziesiątych utrzymuje się na tym samym poziomie. Co roku mury akademii medycznych opuszcza 2 tysiące absolwentów. Pozwoliło nam to stosunkowo szybko wywindować się na wskaźnik ilościowy 10,6 lekarzy na 10 tys. ludności. W porównaniu z sytuacją przedwojenną wygląda to wręcz imponująco, ale o wiele kłopotliwiej jest szukać punktu odniesienia w bratnich krajach systemu socjalistycznego. Ten sam wskaźnik wynosi w Bułgarii 15,6, na Węgrzech 17, w Czechosłowacji 17,6, a w Związku Radzieckim nawet 20. A dopiero ten ostatni, najwyższy wskaźnik pozwala na prawidłowe zabezpieczenie opieki lekarskiej wszystkim obywatelom.

W Polsce więc zaledwie w połowie zbliżyliśmy się do stanu idealnego, z czego nie powinno się wyciągać wniosku, że tylko połowa ludności korzysta z ochrony zdrowia. Po prostu braki ilościowe rekompensuje się dodatkowymi godzinami zatrudnienia i nierzadko jeden lekarz łączy w swym ręku kilka etatów. Trzeba było dopiero specjalnego zarządzenia ministra zdrowia, który ograniczył dopuszczalny wymiar godzin pracy do 10,5 godz.

W każdym razie można przyjąć za pewnik, że u nas długo jeszcze nie zabraknie pracy dla lekarzy. Tymczasem minister zdrowia w wywiadzie udzielonym tygodnikowi „Polityka" zasygnalizował kłopoty związane z zatrudnieniem najmłodszego pokolenia medyków. Okazuje się, że wzrastająca sieć placówek służby zdrowia nie może wchłonąć wszystkich lekarzy — stażystów, przez których należy rozumieć coroczny dopływ absolwentów akademii medycznych.

Znając potrzeby naszej służby zdrowia można by pomyśleć, że źródło ministerialnych kłopotów tkwi w samym stażu jako instytucji i byłoby to najbardziej logiczne, ale niestety, niezupełnie prawdziwe. Sam staż lekarzy jest poza przedmiotem sporu. Nie dlatego, że został uświęcony przedwojenną jeszcze tradycją. Po prostu tego wymaga dzisiejszy stan wiedzy. I system pracy naszych wyższych uczelni. Wystarczy powiedzieć, że student medycyny trafia do kliniki dopiero na trzecim roku. A trzy lata, doraźnych zresztą, kontaktów z pacjentem to o wiele za mało. Toteż aktualnie dyskutowana reforma studiów lekarskich, mimo wszystko instytucji stąży nie zagrozi. Można bowiem mówić o pełnym przygotowaniu do zawodu dopiero przy ośmiu latach nauki, a na to nie możemy pozwolić. Tego rodzaju system studiów istnieje w nielicznych, najbogatszych krajach Europy.

Deficyt lekarzy ciągle występujący w Polsce narzucił model studiów sześcioletnich, a więc o wiele krótszych, ale uzupełnianych następnie **stażem podyplomowym, który można rozumieć jako kontynuację nauki, ale trzeba rozumieć jako wykonywanie zawodu.** Nawet niezupełnie samodzielny lekarz może przecież oddać nieocenione usługi tam zwłaszcza, gdzie braki ilościowe w kadrze lekarskiej przybrały zastraszające rozmiary.

Pod względem rozmieszczenia lekarzy mapa Polski wygląda natomiast rzeczywiście dziwacznie. Jak zwykle najefektow-

Dalszy ciąg na str. 5

ze ŚWIATA

Wydarzeniem w polityce międzynarodowej stała się niewątpliwie II konferencja krajów niezaangażowanych. Jak słusznie przewidywaliśmy przed miesiącem — oczy sprawozdawców i komentatorów zwróciły się na Kair, gdzie przy stole obrad zgromadzili się reprezentanci 58 krajów z czterech kontynentów świata. Swiata tzw. „trzeciego", czyli niezaangażowanego w żaden z istniejących współcześnie bloków.

Tuż przed otwarciem obrad wydarzyła się dość zabawna historia. Otóż w jednej z gazet egipskich mylnie wymieniono wśród uczestników Anglię (zamiast Finlandii). Ambasador Filipin w Kairze zdezorientowany tą informacją natychmiast udał się do egipskiego MSZ z żądaniem wpisania reprezentowanego przez siebie kraju na listę uczestników.

— Przecież jesteście członkiem SEATO — odpowiedziano ambasadorowi.

— A Anglia? Mimo to weźmie udział w konferencji.

Pomyłkę, oczywiście, szybko wyjaśniono i nie warto by może o tym wspominać, gdyby nie to, że historia ta mimo woli zdradziła zainteresowanie krajów związanych różnymi ugrupowaniami — konferencją kairską.

Nic zresztą w tym dziwnego...

„Trzeci świat", skupiający połowę krajów członkowskich ONZ i niemal połowę ludności globu, stanowi przysłowiowy „języczek u wagi". Jego stanowisko wobec najważniejszych problemów światowych ma więc — co obszerniej uzasadniałem w komentarzu przed miesiącem — ważkie znaczenie.

Na konferencji omawiano niezwykle szeroki zakres problemów. Ilustracją tego niech będzie chociażby to, że już na początku obrad zgłoszono 30 projektów rezolucji, w tym 5 dotyczących problemów ogólnych i 25 szczegółowych.

Najwięcej jednak uwagi — prócz zagadnienia kolonializmu i stosunków kraje „bogate" — „biedne" — poświęcono sprecyzowaniu pojęcia niezaangażowania, wywołującego na świecie diametralnie różne opinie. Spróbował zdefiniować je w swym wystąpieniu prez. Nasser.

„Polityka niezaangażowania — powiedział on — nie jest polityką pasywną... W ostatecznej formie niezaangażowanie jest polityką, zdążającą do zapewnienia pokoju, opartego na sprawiedliwości".

I nawiązując do celów konferencji:

„Jej rolą jest opracowanie środków, przy pomocy których można byłoby wykorzystać ogromne zmiany, jakie zaszły w sytuacji międzynarodowej... do tego, aby rozejm opierający się na równowadze nuklearnej i nuklearnym strachu został zastąpiony prawdziwym pokojem".

Za wcześnie jeszcze na to, by w pełni ocenić kairską konferencję. Przyjęty jednak na niej „Program pokoju i współpracy międzynarodowej" — obszerny dokument, który ma być przekazany wszystkim członkom ONZ, wykazuje niezbicie, że niezaangażowane po stronie żadnego ze światowych bloków kraje „trzeciego świata" — raz jeszcze zdecydowanie zaangażowały się po stronie pokoju.

„Pokojowe współistnienie — czytamy w tej deklaracji — jest jedyną drogą umocnienia równości i sprawiedliwości".

Program prócz określenia najważniejszych zasad współżycia międzynarodowego ustosunkowuje się również do nabolalych aktualnie zagadnień na różnych kontynentach.

Na czym polega jego znaczenie, tak zresztą jak i całego kairskiego spotkania?

Głównie na ich antyimperialistycznej tendencji i przeciwstawieniu się siłom, które hamują postępowy rozwój ludzkości. W tych zasadniczych kwestiach cesarze i przywódcy krajów socjalistycznych, królowie i prezydenci różnych republik — bo taki był przecież skład „szczytu" nad Nilem — znaleźli wspólny język.

Zainteresowaniu opinii publicznej kairskimi obradami towarzyszyły na łamach prasy liczne spekulacje na temat celu zapowiedzianych czy też domniemywanych wielkich wizyt. I tak np. obok ciągle żywo omawianego spotkania Chruszczow-Erhard, co jak poinformował na jednej z konferencji prasowych kanclerz NRF, nastąpi najprawdopodobniej w styczniu — mnożą się przypuszczenia, iż prem. Chruszczow weźmie udział w XIX sesji ONZ oraz, że jeszcze w tym roku odwiedzi Europę zachodnią prez. Johnson.

Miałoby to nastąpić wkrótce po listopadowych wyborach, rezultat których wydaje się być przesądzony. Prez. Johnson odwiedziłby wszystkie kraje członkowskie NATO, a więc i Francję. (Na marginesie warto odnotować: w ten sposób de Gaulle postawiłby na swoim — nie on w Waszyngtonie, lecz prezydent Stanów Zjednoczonych w Paryżu złożyłby wizytę).

Celem tych europejskich spotkań Johnsona mają być podobno: scementowanie północnoatlantyckiego sojuszu oraz — cytuję tu za prasą amerykańską — „wszczęcie kampanii na rzecz polepszenia stosunków ze Wschodem i ogólnego odprężenia".

Nie wiemy jeszcze, kto w tych rozmowach będzie reprezentował W. Brytanię: Home czy też Wilson. Gdyby jednak zwycięstwo odnieśli labourzyści — wyżej cytowane słowa mogłyby nabrać szczególnego znaczenia. Tuż przed wyborami potencjalny kandydat na ministra spraw zagranicznych — Gordon Walker zapowiadał bowiem:

„Będziemy nieustannie kłaść nacisk na konieczność odprężenia. Według naszego poglądu najważniejszym krokiem będzie podpisanie porozumienia w sprawie nierozpowszechniania broni nuklearnej. Kiedy Wilson i ja byliśmy w Moskwie — omawialiśmy szczegóły tej sprawy".

I dalej:

„Wyznaczymy ministra do spraw rozbrojenia, co odzwierciedla nasze dążenie do forowania realistycznych propozycji w sprawie kroków, zmierzających do całkowitego rozbrojenia".

Nie chciałbym przeceniać znaczenia tych słów. Tym bardziej, że wypowiedziano je w toku kampanii wyborczej. Zwycięstwo wyborcze angielskiej partii pracy mogłoby jednak stworzyć nową sytuację w stosunkach Wschód-Zachód.

W. SŁAWSKI

(„Hicks")

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Zapiski z podróży

Anglia

9 sierpnia

Londyn pod znakiem beatlesów. Moda, jaką propagują czterej młodzi śpiewacy, porwała masy wyrostków i każe im nosić długie włosy z grzywką pokrywającą całe czoło, buty z cholewkami na wysokich obcasach i spodnie-farmerki. Efekt taki, że przy spotkaniu grup młodzieży różnej płci z trudem stwierdzić można, kto tu chłopiec, a kto dziewczyna.

O wzór nietrudno, nawet jeśli ujrzenie samych beatlesów nie należy do łatwych. W słynnym gabinecie figur woskowych Madame Tussaud przy Marylebone Road oglądać można podobizny czterech ulubieńców młodzieży angielskiej w naturalnej wielkości jak żywych.

W British Museum widziałem młodzieńca ubranego i uczesanego ściśle według beatlesowskiej mody, studiującego z uwagą oryginał Wielkiej Karty Wolności (Magna Charta Libertatis, 1215 r. pamiętamy to z historii, pamiętamy!), umieszczony pod szkłem gabloty i chroniony normalnie firanką przed szkodliwym działaniem słońca. Wyglądało to paradoksalnie. Zainteresowanie młodego człowieka starym manuskryptem wskazywało na osobistą kulturę, zaś poddawanie się idiotycznej modzie mówiło o czymś wręcz odwrotnym.

10 sierpnia

Kolacja w londyńskim „Ognisku", jednym z najruchliwszych klubów polskiej emigracji. Przy niedzieli lokal szczelnie zapełniony. Panowie przeważnie w czarnych garniturach, panie w wieczorowych sukniach. Przeważają ludzie starsi, gdyż młodzież stroni od swoistego polskiego getta.

Nobliwi, wzbudzający szacunek panowie honorują się nawzajem dawnymi tytułami. Rozbrzmiewają więc odezwania się: „panie prezesie", „panie ministrze", „panie pułkowniku". Towarzyszący mi przyjaciel informuje:

— Zrozum, oni wszyscy na co dzień ciężko pracują. Na bardzo różnych stanowiskach. Jednym się dobrze powodzi, mają własne domy i samochody, ale inni zmywają naczynia w restauracjach hotelowych na Strandzie. Nie dziw się, że przychodzą tutaj odetchnąć aurą, która przypomina im dawne, dobre czasy, gdy znajdowali się na świeczniku. I stąd ta tytułomania.

„Leb w żeb"

Zamiłowanie do tytułów, to jeszcze nie wszystko. Opowiedziano mi autentyczną historię o dwóch paniach polskich, które mieszkają po sąsiedzku i żyją w wielkiej niezgodzie. Zapytana przez przyjaciół o przyczyny antagonizmu jedna z pań powiedziała: „Jak to? Przecież ona chciała się ze mną spoufalić. A ja jestem majorowa, a ona tylko porucznikowa!". Dodać należy, że obie panie są wdowami od kilkunastu lat.

Dla nich świat zamarł w bezruchu w 1939 r.

12 sierpnia

W drodze do Cambridge zatrzymujemy się w miasteczku Newark. Za rynkiem odnajdujemy bramę cmentarną i idziemy długą aleją wśród grobów. Wreszcie po lewej stronie otwiera nam się widok na równiutkie szeregi białych kamiennych mogiłek. To tutaj!

Jesteśmy na cmentarzyku lotników polskich, którzy zginęli w bitwie o Anglię w w 1940 roku i w latach następnych. Leży ich tu około czterystu. Pośrodku nagrobki Władysława Sikorskiego i Władysława Raczkiewicza.

Cmentarzyk utrzymany jest starannie, a przecież trudno oprzeć się wrażeniu, że bezlitosny upływ czasu zaciera pamięć wielkich zasług i bohaterskich czynów. Snujący się po cmentarzu Anglicy rzadko zapuszczają się w tę stronę...

15 sierpnia

Do Berwick, nadmorskiej miejscowości leżącej u ujścia rzeki Tweed, przyjechaliśmy późnym wieczorem z Edynburga. Za nami została stolica Szkocji, rozłożona malowniczo wśród skał, a obecnie efektownie iluminowana w związku z dorocznym festiwalem muzycznym i teatralnym, za nami bogate witryny domów towarowych na Queen Street.

Tutaj w Berwick panuje cisza. Za długim falochronem ukryły się kutry rybackie i jachty. Ulice około dziewiątej wieczór wymarcione z ludzi. Jak to na głuchej prowincji. A przecież właśnie tutaj napotykam pierwsze jaskółki nadchodzącej kampanii wyborczej.

Na parkanie widnieją zgodnie obok siebie wielkie plakaty, przedstawiające twarze dwóch uśmiechniętych gentlemanów. To premier Alec Douglas Home i przywódca Labour Party — Harold Wilson. Między obu partiami, uosobionymi przez fizjonomie liderów, rozegra się wkrótce walka decydująca o tym, do kogo będą należały rządy w Imperium Brytyjskim w ciągu nadchodzących kilku lat.

Nie, to chyba wyrażenie nieścisłe! O angielskim systemie dwupartyjnym mamy w Polsce nieco wypaczone pojęcie. Wbrew pozorom i szeroko pojętej demokracji obie partie nie przystępują do wyborów z równymi szansami. Partią uprzywilejowaną są z reguły konserwatyści, czy jak kto woli — torysi.

Dlaczego? Z prostej przyczyny. Jest to partia reprezentująca wielki kapitał. Do jej dyspozycji stoją potężne domy bankowe, organizacje przemysłowców i nieprzeliczone zasoby aktywów finansowych, decydujących o życiu gospodarczym Anglii. To konserwatyści stosować mogą metodę „stop and go" (stój i idź), polegającą na tym, że w okresie przedwyborczym uruchamia się pewne rezerwy finansowe i sztucznie ożywia koniunkturę, by przekonać wyborcę, jak dobrze mu się wiedzie pod skrzydłami torysów, a po zwycięstwie wyborczym, wycofuje je, co z kolei wywołuje stagnację ekonomiczną.

Jakież więc są szanse Labour Party? Dlaczego ostatnio mówi się o jej rosnących wpływach? Labour Party jest partią mającą reprezentować ludzi pracy. W jej skład wchodzą przede wszystkim trade-uniony, czyli związki zawodowe i różne organizacje robotnicze. W propagandzie wyborczej Labour Party występuje z programem łagodnych reform społecznych.

Wyborca angielski dobrze jednak wie, że kapitał leżący u podstaw ustroju Wielkiej Brytanii jest w ręku konserwatystów. Jeżeli mimo to odda kartkę wyborczą na kandydata labourzystowskiego, to tylko w przekonaniu, że panowanie torysów należy od czasu do czasu przyhamować. Żeby nie poczuli się zbyt pewnie. Taka mała lekcja na pewno im się przyda. A potem labourzyści znów powrócą do właściwej sobie roli opozycji jej królewskiej mości...

Tak z grubsza wygląda prawda o wyborach angielskich. Być może zwycięstwo przypadnie Wilsonowi, ale wielki kapitał rozpocznie wtedy natychmiast sabotowanie posunięć nowego rządu. Ten stan rzeczy potrwa do nowych wyborów, kiedy wszystko wróci do normy: władza znów będzie w rękach tych, którzy mają pieniądze.

POLONICA

NASZ PRZYJACIEL JULLIARD

W drugiej połowie września odbyła się we Frankfurcie nad Menem doroczna „Buchmesse", która obok naszych „Międzynarodowych Targów Książki" jest największą w Europie imprezą tego typu. Z tej okazji tygodnik francuski „Les Nouvelles Littéraires" rozpisał w paryskim świecie edytorskim ankietę na temat współudziału „literatury zagranicznej we francuskiej produkcji wydawniczej". Spośród 21 objętych ankietą wydawnictw tylko dwa wymieniły autorów polskich. I tak „Albin Michel" w swej odpowiedzi wspomina o „bardzo satyrycznej" książce Mrożka „Słoń" jako jednej z „dobrze idących" publikacji autorów obcych. Bardziej minorowa w tym względzie jest opinia wielkiej firmy wydawniczej „René Julliard", której przedstawicielka powiedziała między innymi co następuje:

„Sukces pisarza w jego kraju nie świadczy bynajmniej, że taki sam sukces czeka go we Francji! Mamy w swoim katalogu trzech największych współczesnych pisarzy polskich, wśród nich Witolda Gombrowicza, którego „Ferdydurke", ogłoszone w Polsce w roku 1939 (sic!), odniosło dzięki swej odwadze intelektualnej i moralnej taki sukces, że uznano je za dzieło wywrotowe; otóż wydaliśmy je w roku 1958 i sprzedajemy... dwieście egzemplarzy rocznie! Inny Polak, Kazimierz Brandys, który w Warszawie dość często ociera się o ryzyko interdyktu (re-sic!), u nas zdobył sobie swoimi powieściami (romans) „Listy do pani Z." i „Matka Królów" — zaledwie „sukces poważania" (inaczej: aplauz grzecznościowy).

Nazwisko i dzieło trzeciego spośród „największych współczesnych pisarzy polskich" nie zostały w tej deklaracji wymienione. A szkoda!

Z BILANSÓW DWUDZIESTOLECIA

W ostatnim numerze „Les Lettres Francaises" (z dn. 1 października) znajdujemy artykuł Tadeusza Drewnowskiego zatytułowany: „Dwadzieścia lat literatury polskiej 1944—1964". Jest to, niestety — i prawdopodobnie nie tyle z winy autora, co z winy szczupłości miejsca, jakie mu wyznaczono na jednej, mocno okrojonej kolumnie tygodnika — bardzo pobieżny przegląd, dający się właściwie sprowadzić do katalogu tytułów i litanii nazwisk, opatrzonych najczęściej ogólnikowymi i zdawkowymi formułkami.

Wina autora jednakże wzrasta, kiedy formułki te stają się bałamutne, jak na przykład ta: „Eseje historiograficzne" (!) świetnego poety Mieczysława Jastruna, takie jak „Mity Śródziemnomorskie" (!), są amalgamatem elementów całkowicie odmiennych, ukazujących przerażenie człowieka wobec ciążącej nad nim grozy ery atomowej". Albo: „Rewelację stanowi dzieło literackie jednego z młodszych, Sławomira Mrożka, który próbuje ująć w sformułowania natury uniwersalnej — problemy regionalne".

PISARZE POLSCY W ALMANACHU

Znana monachijska firma wydawnicza R. Piper-Verlag opublikowała almanach pt. „Stationen" z okazji pięćdziesięciolecia swego istnienia (1904—1964). W grubym tomie, liczącym blisko 800 stron druku, pomieszczono fragmenty prozy różnych autorów, eseje literackie i szkice polityczne oraz zestawiono bibliografię druków, wydanych w ciągu pięćdziesięciolecia. W almanachu znajduje się opowiadanie Tadeusza Borowskiego „Die Nationalhymne" z tomu opowiadań, opublikowanego w Warszawie w 1959 roku, proza Leszka Kołakowskiego z „13 Bajek Królestwa Lailonii" oraz fragment powieści pisarki niemieckiej Wandy Brońska — Pampuch, której bohaterką jest Polka, Jadwiga, a akcja dzieje się częściowo na ziemiach polskich.

POLONICA

Fot. WAF

WACŁAW BILIŃSKI

W POSZUKIWANIU MINIONEGO CZASU

Przyjechałem do Chełma, by wytropić tego młokosa, zbuntowanego przeciw porządkom świata, tego pyszałka zadufanego, w swój szczęśliwy los, tego prostaka, przekonanego, że cel uświęca środki. Przyjechałem, by go tropić w przestrzeni zamkniętej znajomą linią horyzontów, by odnaleźć go w czasie odległym, lecz tu właśnie utrwalonym wyraziście w pamięci.

Przed nowym dworcem, dziś, w jesienny ciepły wieczór, opadłe liście głośno szeleszczą pod stopami — i jest tak, jakby to on szedł teraz w stronę gmachu Dyrekcji. Jest taki sam wieczór i taka sama cisza i niebo dopala się tak samo, ale upłynęło tak wiele czasu, że myślę o nim niemal jak o obcym. A przecież tu, w Chełmie, po dwudziestu latach, idąc zawiłym tropem owej niezapomnianej jesieni — pójdę też swym własnym śladem.

Zjawiliśmy się zaraz po wyjeździe PKWN. Nie było wtedy tych wysokich, dziś już dwudziestoletnich drzew, nie było nowego dworca, gmach dyrekcji Kolei otaczały tylko domki kolejarskie. Mówiono wówczas: Szkoła na Dyrekcji albo po prostu OSA — Oficerska Szkoła Artylerii. Byliśmy tu pierwsi — cztery podchorążackie baterie z Riazania. Potem liczba baterii wzrosła. W październiku było ich już dwadzieścia cztery. Trzy tysiące podchorążych. Całe wojskowe miasteczko.

Chełm, czujny i nieskory do serdeczności, śledził Szkołę uważnie zza wzgórza i wkrótce już spostrzegł, że tych, którzy przyjechali z głębi Rosji łatwo poznać po wybiakłych, prawie białych drelichach. We wrześniu walka polityczna zaostrzyła się — nocę dudniły strzelaniną, w okolicznych lasach zjawiły się bandy. Wtedy podchorążaków z tych pierwszych baterii nazwano czerwonymi. Niejeden z nich usłyszał: won, ty bolszewicki pachołku. Po promocji wysypał się na miasto ich cały tłum, w nowiutkich mundurach, i przez ten jeden dzień należał do nich Chełm. A potem? Potem było wiele miesięcy wojny. Po jej zakończeniu nikt ich nie zwołał na apel poległych. Niewielu z nich spotkało się w następnych latach. I miasto o nich zapomniało.

Jest już późno, biurowiec Dyrekcji, przypominający łódzki gmach sądu, opustoszał. Czego pan tu szuka? Jak to wytłumaczyć nieufnemu portierowi? Niech pan przyjdzie jutro. Dobrze, przyjdę jutro. Jeszcze tylko ukradkowe spojrzenie w głąb hallu. Ciemno i cicho. Pomału schodzę po dobrze znanych stopniach, daleko świeci neon dworca, dwudziesty wiek, nowoczesność. Obok gmachu na niewielkim placyku stoją karetki pogotowia. Przy jednej z nich rozmawiają głośno kierowcy. Ich słowa rozlegają się daleko we wrześniowym zmierzchu: „A ja powiadam, że zryczałtowane, inaczej nie wyjdziemy na swoje... Wiesz, poprawili ten kawałek drogi pod Włodawą..."

Właśnie tu, po prawej stronie gmachu stał przed dwudziestu laty barak-stołówka. Wbiegaliśmy do niego źli, głodni i zawsze zziajani, zawsze w pośpiechu... Siadaliśmy przy długich stołach po dwudziestu, dwadzieścia par oczu śledziło ruchy dyżurnego więc nie mogło być żadnej różnicy w wielkości porcji: w każdą cynową miskę chlast, chlast, dwie chochle fasoli, czarnej, jałowej. Co dziś na obiad? — Fasola. Co było wczoraj na obiad? — Fasola. Co będzie jutro? — Fasola. Żarliśmy ją w milczeniu, łapczywie dławiąc się, byle prędzej. Na dnie każdej miski zostawała garść czarnych kamyków: garść kamyków w każdej z trzech tysięcy porcji. Ktoś nas okradał, ktoś sypał ten żwir do kotłów, ktoś robił nadwagę w magazynie, ktoś sprzedawał worki fasoli na lewo. Gdybyśmy wówczas go złapali — zabilibyśmy, ale nikt go nie złapał, mimo że działo się tak we wrześniu, i w październiku i w listopadzie. Mimo, że buntowaliśmy się, na dnie misek wciąż zostawał czarny żwir. Dla wielu z nas była to ostatnia afera z jaką los nam kazał się zetknąć, bo przecież większość poległa tej jesieni nad Wisłą, i w zimie podchodząc do Wału Pomorskiego, i wiosną na Śląsku, a potem w Berlinie. Ten, kto nas okradał, nie poszedł na front, został nierozpoznany, i cieszył się swym zarobkiem na workach naszej chudej, jałowej, znienawidzonej fasoli. Ciekawe, jaką drogą szedł przez następne dwadzieścia lat? Ciekawe, jaką twarz ukazuje dziś ludziom?

Zrobiło się już całkiem ciemno. Zawracam więc i mijam kolorowe bloki, oszklony fronton Domu Kultury i amfiladę sklepów (Sam, 1001, Włókno). A potem wchodzę w ciche, ciemne uliczki. Tu, na najdalszym z przedmieść nic się pozornie nie zmieniło, domki kryją się jak dawniej za płotami, wśród obwieszonych owocem jabłonek. Te jabłka mają cierpki smak, wiem, pamiętam, to zimowa odmiana, nabiorą soczystości dopiero za miesiąc, dwa. Czy drzewka bardzo się rozrosły? Czy przybyło domków? Z okien spływają kliny ciepłego światła, przy furtkach dziewczęta całują się z chłopakami. W taki wieczór wszystkie domki będą się ociągać z zaśnięciem, jest jeszcze wcześnie.

W szkole apel bywał o 22. Raz w miesiącu — po wypłacie — w godzinę później, z duszą na ramieniu wymykaliśmy się tylnymi schodami. Emocja dodawała smaku przygodzie, biegliśmy w tę uliczkę, właśnie tu, trzeci dom po lewej stronie. Pukaliśmy do drzwi. Kto tam? To my, swoi. Otwierał wąsaty, przygarbiony krajan. Panie Aleksy, mamy tylko siedemdziesiąt złotych. Siadajcie chłopaki, Maryśka wytrzyj szklanki. W butelce zlocił się samogon buraczany aż gęsty od fuzla, ale uczciwy, nie struty karbidem. Zagryzkę przynieśliście? Maryśka pokroj no ogóreczki. Dziewczyna wychodziła do kuchni, szedł za nią jeden z nas. Co pan robi jeszcze ktoś tu wejdzie! Maryśka, proszę cię: Będą te ogórki, czy nie? Płynęły godziny, po północy biegiem wracaliśmy do szkoły, za parkiem artyleryjskim stał wartownik z bratniej baterii. Chuchnijcie, ale jedzie od was samogon! I jeszcze chwila emocji, czy uda się wejść niepostrzeżenie, a potem spać, spać, bo już o piątej pobudka.

Boczną ulicą, w głębokim mroku, wracam w stronę Dyrekcji. W tej uliczce wszystko wydaje mi się znajome: kocie łby, odblaski okien w kałużach, dalekie odgłosy miasta: nocny pejzaż przypomina mi znów ową jesień, kiedy baterie Szkoły Artylerii strzegły w tym mieście Władzy Ludowej. Tuż pod Chełmem, w lasach i leżących na uboczu wioskach rządziły wówczas bandy. Miasteczko było pod ich obserwacją, walka o władzę wchodziła w decydującą fazę. Ze Szkoły Pancernej zdezerterowała — „poszła do lasu" — cała kompania pod bronią. Gdzie indziej zdezerterował cały pułk. Nie było nocy bez zajadłej strzelaniny.

W dzień — niewyspani, z zaczerwienionymi powiekami — zgłębialiśmy zawiłości i tajniki artylerii. W nocy spaliśmy na wartowniach, szliśmy na patrole, staliśmy na warcie. Nasze baterie szły w pościg za dezerterami, strzelaliśmy się z NSZ, od zmroku do świtu władaliśmy Osiedlem.

Tak było dwadzieścia lat temu. Teraz przede mną idzie jakaś para małżeńska i kłóci się zawzięcie o trzysta złotych, które ona lekkomyślnie, przed pierwszym, wydała. Mam tego dosyć — mówi mężczyzna, wciąż to samo, ja suszę sobie głowę, a ty... A ja nie będę chodzić w łachach i zdartych mesztach! — Meszty! Nie przesłyszało mi się? I tego słowa nie słyszałem już od dwudziestu lat. „Meszty", tak o pantoflach mówili wówczas tylko repatrianci zza Buga. Jeszcze i to słowo, jak kładka rzucona nad przepaścią, spina dzisiejszy wieczór z dawno minionym czasem.

☆

Nazajutrz rano w niebieskiej mgle główna, stromo wstępująca ulica Chełma zamknięta efektownym spiętrzeniem schodów wydaje mi się zbyt już dekoracyjna. W parku Zamkowym tonącym w jesiennych opadach liści jest trochę schludniej, kolorowe ławeczki, wygracowane ścieżki, kosze na śmieci — tego dawniej nie było. Ale za klasztorem zagony kapusty są i tego ranka aż niebieskie od rosy, tak jak przed laty. A jeszcze dalej, nagle, zza murów — krajobraz otwarty, wolny, aż po płaskie dalekie horyzonty, taki sam, jak niegdyś. To pierwsze wrażenie. I zaraz — nie, nie taki sam. Zmieniony, do niepoznania zmieniony!

Stoję więc z osiedlem u mych stóp, jakże ono się rozrosło! Teraz to właściwe miasto, za plecami Chełm jest zmurszały i żałosny, a tu nowoczesność logiczna, funkcjonalna. Za szpalerami nowych bloków domki jednorodzinne rozsypały się szerokim pierścieniem wokół Dyrekcji. Jeszcze dalej dymią kominy cementowni. I właśnie tam, coś się nie zgadza, coś nie pasuje do pejzażu utrwalonego w pamięci. Rysuję w myślach krzywą, garbatą linię, tak, już wiem: niegdyś wzgórze, za którym dziś skryła się cementownia, wysoko dźwigało swój łysy grzbiet. Góra Wapienna, naga, o zboczach stromo opadających. Tak było wtedy. Dziś nie ma już tego garbu, zjadła go cementownia. A właściwie dojada go, bo dostrzegam jeszcze ostatni ostry próg wapienny, przy którym warczą koparki, taki niski — oto wszystko, co zostało z naszej Wapiennej Góry.

Na Wapienną Górę chodziliśmy we wrześniu i w październiku i w listopadzie, by zgrabiałymi palcami kreślić topograficzne wcięcia i powtarzać aż do znudzenia rytuał prowadzenia ognia. Przychodziliśmy pod tę kamienną skarpę zasłoniętą nawisem od deszczu i z lejtnantem Bakunowem na muszkę pieszą, ale Bakunow nienawidził ćwiczeń tak jak my, więc paliliśmy gorzką, piorunującą machorkę, a Rosjanin opowiadał nam o swym wojennym losie, o roku 41, kiedy stracił brata i o roku czterdziestym drugim, kiedy bomba zabiła mu żonę, i o roku czterdziestym trzecim, kiedy pod Stalingradem mina zgruchotała mu obie dłonie. Przez całą jesień co dzień chodziliśmy na Wapienną Górę i nienawidziliśmy jej i mieliśmy ku temu powody; deszcze rozmyły wapnistą glebę w białą tłustą maź, oblepiającą buty i ostrogi. Nie mieliśmy koni, i czekała nas służba w artylerii zmotoryzowanej, ale wierność tradycji sprawiła, że nosiliśmy ostrogi, wielkie, żelazne, zbędne, absurdalne. Potykaliśmy się o te ostrogi, spadaliśmy przez nie ze schodów, i co najgorsze — musieliśmy je czyścić. Trzeba je było czyścić nieustannie, co dzień, co godzinę. I była jedna tylko skuteczna metoda: wydrapać ostrzem igły najmniejszy ślad rdzy, najmniejszy okruch wapna. Więc godzinami drapaliśmy igłą. Ostrogi musiały lśnić, ale i tak szef, jeśli zechciał, zawsze dopatrzył się jakiejś plamki. Ostrogi stawały się naszą obsesją, naszą klęską. Któż zdoła sobie wyobrazić jak nam obrzydły te ostrogi.

W dziale rolnym Komitetu Powiatowego młody człowiek słucha tego, co mówię z nieufnością. Zastanawiam się, ile lat miał on wówczas: pięć, dziesięć? Dla niego czas, którego ślady chcę odszukać, to już prehistoria. Jak mu wytłumaczyć, o co mi chodzi? Byłem tu kiedyś — i co z tego? Ten gmach, tak dobrze mi znany... I co z tego? Piaszczysta droga, którą wtedy wędrowaliśmy... i co z tego? Jest mi głupio, bo nie pamiętam nazw wiosek, czas doszczętnie wymył je z pamięci. Mapa powiatu? Młody człowiek choć nieufny, pokazuje mi sztabówkę, nad którą pochylam się ze szczególnym uczuciem: szosa, pamiętam, biegła na południe, a potem skręciliśmy w lewo, w piach bezdroża. To chyba gdzieś tu. I nagle odżywają nazwy: Rakołupy, Janówka, Bończa. Rakołupy! Jakże można było zapomnieć taką nazwę.

„Parcelować" zgłosiło się nas (pamiętam cierpkie komentarze i złe przepowiednie) akurat trzynastu. Więc kolejno odlicz, trzynaście pepesz, trzynaście egzemplarzy Manifestu, trzynaście płaszcz-płatek. Suchy prowiant według normy. Odprawa. Rozkiekotany „ZIS". Mijaliśmy wioski przycichłe i jesiennie zaspane, aż wreszcie samochód utknął w mokrym, ciężkim piachu. Dalej gęsiego, pod monotonny grzechot naszych trzynastu plecaków. W każdym z nich: 120 naboi do pepeszy i dwie puszki amerykańskiej konserwy.

Konserwy zjedliśmy od razu na pierwszym noclegu, na posterunku MO w Rakołupach. Pamiętam dobrze nędzną sylwetkę tej chaty na tle dogasającego nieba i ciemną izbę o zabarykadowanych oknach, komorę ciasną od nar i byle jak sklejonych stojaków na broń. Twarzy milicjantów nie mogę sobie przypomnieć: byli to ludzie młodzi, ubrani na poły po cywilnemu, na poły po żołniersku, niezbyt skorzy do rozmowy. Więc i rozmów nie pamiętam.

Nazajutrz podzieliliśmy się na dwójki — i dalej piechotą, z kolonii do wsi, ze wsi na kolonię. Zwoływaliśmy wiece, dziwne chłopskie wiece z jesieni roku 1944. Stawaliśmy przed milczącym tłumem, oparci o pepesze, tłumacząc, że ziemia czeka. Ogarniał nas zapał, milczenie tłumu złościło nas i chwilami doprowadzało do rozpaczy, braliśmy je za nieufność, może nawet za wrogość. Dopiero o zmroku wędrując kilometrami na jakąś konspiracyjną kwaterę, dowiadywaliśmy się prawdy: chłopi tłumaczyli nam, że się boją, mówili o terrorze. Wokół w lasach przyczaiły się oddziały „Zielone". Słuchając o ich wyczynach, pojmowaliśmy to nieufne milczenie, niepokój udzielał się i nam, pociły nam się dłonie, w których ściskaliśmy pepesze. Noc, opłotki nie znanych wsi, dalekie ujadania psów, oto sceneria tych nocnych politycznych dyskusji. Po północy zmęczenie brało górę: sypialiśmy zdrowo, bez snów pod czujną strażą gospodarzy aż do świtu wartujących przed chatą. Budziliśmy się późno, z głowami ciężkimi od przeżyć i samogonu. A potem wędrowaliśmy do następnych wsi, na następne wiece.

Po takim tygodniu spotkaliśmy się w Rakołupach, trzynastu, bez strat. Po latach, w pewnej warszawskiej kawiarni, przypadkowo dowiedziałem się, że ci z lasu przecenili nasze siły, uznali nas za zwiad, myśleli, że za nami przyjdą bataliony. Więc nie zaatakowali. A było nas tylko trzynastu.

Teraz wodząc palcem po mapie, odszukuję trakty, ścieżki i groble, którymi chadzaliśmy: my — to znaczy kto? Usiłuję przypomnieć sobie nazwiska. Ilu z tej trzynastki spotkałem po wojnie? Trzech. Bozek jest generałem, Kostecki dziennikarzem. Trzeci zasłynął jako oskarżony w pewnej wielkiej aferze. Oto jakie bywają losy człowiecze.

Autobus — jak zawsze w dzień targowy — jest zatłoczony, posuń się pan, jeszcze może wejść z pięć osób, kobieto, gdzie się pchasz z tym koszem? Siedzę przy oknie i raz jeszcze defiluję przede mną Chełm. — Ta część miasta niewiele się zmieniła: przybył Pomnik Wdzięczności, otynkowano domy, na jednym z nich zjawiła się tablica ku czci Związku Walki Młodych. Powstał on w Chełmie w styczniu 1945 roku. Nas już wtedy tu nie było.

Więc raz jeszcze defiluje przede mną Chełm: mamusie na spacerze z pociechami, wymizdrzone dziewczęta na deptaku, tłum przed stacją śródmiejską, nowoczesne skrzyżowanie szos. Potem lasy, za gajniki, wsie rozsypane wzdłuż szosy. A mnie ogarnia nostalgiczna tęsknota za krajobrazem młodości, za ową jesienią pełną niepokojów. Za twarzami, których już nigdy nie ujrzę. I za tym młokosem, pyszałkiem, prostakiem. Czasem myślę, że ten trudny czas okradł nas z przywilejów młodości. Czasem, że nas wzbogacił. Więc jak było naprawdę? Czy była to „trudna młodość"? Czyśmy ją zmarnowali? Czy jesteśmy o nią ubożsi? Ten wyrok — nie mnie ferować: jestem stroną w sprawie. To ja powinienem go wysłuchać; więc proszę, wstańmy, sąd idzie.

JULIAN BRYSZ

Kieleckie DROGI, polskie DROGI

Zdarzyło mi się tej wiosny jechać drogą łączącą dwa małe miasteczka w Kielecczyźnie — Szydłowiec i Przysuchę. Na mapach komunikacyjnych droga ta występuje w postaci ledwo widocznej kreseczki, spodziewałem się więc ciężkich perypetii — wybojów, grzęźnięcia i wszystkiego najgorszego, co się zdarzyć może.

Okazało się, że nic z tych rzeczy. Szosa wprawdzie wąziutka, wijąca się między opłotkami chałup, na całej trasie gładka i równiutka, dobrze utrzymana. Dziwiłem się, komu przyszło na myśl budować taką drogę w zapadłym kącie kraju, pozbawionym najmniejszego nawet zakładu przemysłowego, drogę łączącą ze światem zaledwie kilka niewielkich wiosek. Skąd wzięto fundusze i komu się chciało to robić?

Nie wiedziałem wówczas nic jeszcze o kieleckiej „akcji droga", o wielkiej i spontanicznej inicjatywie społeczeństwa tego regionu. Nie wiedziałem, że w takim na przykład powiecie Busko, sprawie budowy dróg każdy statystyczny mieszkaniec poświęcił w roku 1963 czyn wartości 180 złotych. Każdy, wliczając niemowlęta i staruszków!

* * *

We wrześniu minęło dokładnie 30 lat od chwili, kiedy jeden z moich kieleckich informatorów, którzy wtajemniczali mnie w szczegóły „akcji droga" — inż. Konstanty Kniaziew — podjął pracę w tutejszym wydziale komunikacji. Nazywało się to wtedy „wydział komunikacyjno-budowlany", ale pierwszy człon tej nazwy był klasycznym przykładem „dętologii", jako, że Kielecczyzna nie miała w owym czasie ani kilometra asfaltu.

Właśnie w roku 1934 w Warszawie zapadła wielkomocarstwowa decyzja zbudowania autostrady im. Piłsudskiego ze stolicy do Krakowa przez Kielce. Inż. Kniaziew był jednym z tych, którym polecono przygotować dokumentację nowej trasy. Kalkulując jak najtaniej, wyrachowali koszt budowy na 3 miliardy złotych. A cały budżet państwa wynosił... 3,8 miliarda. Nierealny już w założeniu projekt, oczywiście musiał upaść. Starczyło ledwo na wąską wstążkę asfaltu, ale i to było sporym osiągnięciem. Kielce, wojewódzkie miasto, otrzymały pierwsze połączenie drogowe ze światem! Poza tym przed rokiem 1939 nie zbudowano już właściwie nic. Do miast powiatowych wiodły drogi bite, którymi od biedy mogły się poruszać limuzyny starostów i biskupów. Z wsią

Fot. T. Grzęda

nie było żadnego kontaktu, wieś tkwiła w gospodarce naturalnej, jak za Piastów.

Kielecczyzna stanowiła pod względem ilości dróg najbardziej zaniedbane województwo Polski „B". Gorzej było tylko w Polsce „C", na kresach wschodnich. Nic więc dziwnego, że po wyzwoleniu, gdy cywilizacja przemysłowa objęła we władanie nasz kraj, tu właśnie najostrzej dały się odczuć skutki zacofania. Gdzie indziej również sytuacja była kiepska, wszakże jakoś sobie radzono. *Sznury ciężarówek ciągnęły na nowe place budowy, łamiąc po drodze resory, ale przecież docierając na miejsce przeznaczenia. W Kieleckiem nie było nawet takich możliwości, powstała zatem sytuacja krytyczna.*

I to właśnie stało się momentem zwrotnym, to właśnie wyzwoliło moce, jakich w innych regionach, niewiele tylko lepiej rozwiniętych, nie dałoby się chyba wykrzesać.

* * *

W maju 1958 roku Wojewódzka Rada Narodowa w Kielcach podjęła uchwałę, jakiej dotychczas nie ma w dokumentach żadnej innej z rad, *uchwałę o siedmioletnim planie rozbudowy dróg lokalnych.* Zakładano w planie budowę dwóch tysięcy kilometrów dróg twardych. W momencie podejmowania tej uchwały, Kieleckie miało 7,8 kilometra dróg na 100 km² powierzchni; Wrocławskie — dla porównania — 55 kilometrów na terytorium o takiej samej wielkości.

W Ministerstwie Komunikacji oceniono ów plan jako mrzonkę, szeptano coś o porywaniu się z motyką na słońce. Ale ludzie, którzy plan ogłosili, wiedzieli, że jest realny. Zanim bowiem został zatwierdzony, zasięgnięto opinii wszystkich po kolei rad gromadzkich, zbilansowano surowce, maszyny i zapał ludności. Tego ostatniego czynnika, który właśnie okazał się decydującym dla powodzenia całego przedsięwzięcia, Ministerstwo nie potrafiło wziąć pod uwagę. Stąd rozbieżności w poglądach.

Z miejsca po ogłoszeniu historycznego już dziś aktu, rozpoczęła się rozbudowa żwirowni, zmobilizowano siły wszystkich biur projektowych Kielc i Radomia celem sporządzenia dokumentacji nowych dróg. Inicjatywie społecznej wyszła na przeciw sprawna organizacja. Kielecka „akcja droga" ruszyła bez chwili zwłoki.

Z 7,8 km, gęstość dróg wzrosła do 37,8 na 100 km². Wartość wszystkich robót obliczono na około 850 milionów złotych. W tym jednak tylko 120 milionów stanowiła „żywa gotówka" z kiesy państwowej, około 200 milionów — wpływy z funduszu gromadzkiego, resztę zaś — czyny społeczne ludności wiejskiej.

Dzisiaj dobrą drogą, niezawodną o każdej porze roku, dojechać można do wszystkich niemal siedzib gromadzkich rad narodowych w Kielecczyznie. Przy czym tempo budowy nadal nie słabnie: planowano na rok bieżący 312 kilometrów dróg, do tej pory powstała już wstęga długości 338 kilometrów. Dotychczasowe sukcesy wydają się jakby bodźcem do dalszych, ambitnych przedsięwzięć. Mówiono mi: w roku 1980 wskaźnik gęstości dróg w Polsce wyniesie 65 na 100, u nas natomiast — 78,4 na 100. Wyjdziemy na jedno z pierwszych miejsc w kraju!

Ten i ów wysuwa już zastrzeżenia, iż zbyt wiele energii społecznej przeznacza się na drogi, że cierpią na tym inne dziedziny — oświata, kultura, zdrowie. Rzeczywiście, udział w budowie dróg stanowi 70 procent czynów społecznych ludności Kielecczyzny, w pozostałych 30 procentach muszą się zmieścić wszystkie inne, nie mniej pilne zadania. Zwolennicy obecnego „układu" replikują: w roku 1957, ostatnim roku przed uchwałą, wartość wszystkich czynów społecznych w województwie wyniosła 68 milionów złotych, zaś np. w roku 1962 — ponad 320 milionów. *A więc dzisiejsze 30 procent, z których powstają szkoły, izby zdrowia czy domy kultury, to znacznie więcej, niż dawne 100 procent.*

Zatem budowa dróg nie osłabia tempa wzrostu „nakładów" społecznych na inne dziedziny, a przeciwnie — wzmacnia je, przysparza nowych sił i środków. Droga jest potrzebą numer jeden. Gdy ona powstanie, gdy ludności danej osady czy wioski uda się, przy pomocy ze strony władz, pomyślnie zakończyć to dzieło, wówczas rodzą się i dalsze potrzeby, wsparte przekonaniem o możliwości i realności osiągnięcia nowych sukcesów.

Kiedyś może ekonomiści ocenią, w jakim stopniu powstanie sieci kieleckich dróg przyspieszyło mechanizację rolnictwa, ułatwiło dopływ mas ludzkich do wielkich inwestycji przemysłowych, zaktywizowało wymianę handlową. Socjologowie może postarają się dociec, jaki wpływ wywarło to na świadomość społeczną mieszkańców zapadłych do niedawna zakątków regionu. Ale i bez tych ocen korzyści wydają się bezsporne, co najwyżej — przeciętny obserwator nie w pełni potrafi zrozumieć doniosłość zaszłych przemian, choć podświadomie odczuwa ich wielkie znaczenie.

Szukając wniosków i uogólnień, trafiłem do *wiceprzewodniczącego kieleckiej WRN — p. Stanisława Bąk-Dzierżyńskiego.* Rozmowa nasza jednak, wbrew moim początkowym intencjom, nabrała charakteru praktycznego, gospodarskiego.

„Gdyby wszędzie sprawę mechanizacji rolnictwa rozpatrywano bardziej wszechstronnie, łatwo doszłoby się do wniosku, że nieodłącznym towarzyszem traktora musi być... droga. Droga jest podstawą każdej aktywizacji terenu, to rzecz ogólnie znana. Często uśmiecham się, gdy w naszym działaniu ktoś doszukuje się mądrości. Nie ma mądrości, jest tylko inicjatywa, wsparta aktywnością społeczeństwa.

Jeśli gdziekolwiek sprawę postawi się tak, jak u nas, ludzie na pewno ruszą do pracy. Województwo łódzkie, na przykład, ma lepsze niż my możliwości, bo dysponuje większymi zasobami kamienia budowlanego. A Rzeszowszczyzna — powiedzmy — jest po prostu „rajem surowcowym".

Co zamierzamy dalej? Kontynuując rozbudowę dróg lokalnych, chcemy zabrać się równocześnie za drogi państwowe, które też nie są w najlepszym stanie. Jeśli resort komunikacji dostarczy środków, my zapewnimy udział mieszkańców. Każdy przecież obywatel Kielecczyzny siódmego dziesiątka XX wieku chce mieć kontakt ze światem, dobrą drogę dla swego traktora, motocykla i odświętnych bucików, chce mieć przystanek autobusowy przed domem. Ot i cała tajemnica..." — wyjaśnia mój rozmówca.

✡

W całym kraju rozbudowa dróg posuwa się w szybkim tempie. Porzekadło o „polskich drogach" już niemal wszędzie straciło rację bytu. O ile jednak średnio w Polsce przybywa nam corocznie 10 procent dróg, to w Kieleckiem — 25 procent. Tam dobre szosy sięgnęły najgłębiej, do najmniejszych skupisk ludzkich, można by powiedzieć: do jądra ziemi.

Kieleckie drogi, polskie drogi — przenośniki cywilizacji i postępu.

ŁÓDZKIE XX-LECIE

STUDIUM JĘZYKA POLSKIEGO

MYŚL: Od kilku lat dziesiątki zagranicznych studentów przygotowują się w Łodzi do podjęcia studiów na wyższych uczelniach Polski. Zaistniała więc konieczność stworzenia im warunków nauki i bytowania.

DANE: Kubatura — 26,5 tys. m sześciennych. Budynek składa się z części mieszkalnej (11 kondygnacji) oraz z 4 kondygnacyjnych części — dydaktycznej i tzw. „społecznej" (aula na ok. 500 osób, stołówka, klub). Na parterze znajdują się: szpitalik, ambulatorium lekarskie, kuchnia.

PROJEKTANT: inż. E. R. Orlik.

KOSZT: ok. 26 mln zł.

WYKONAWCA: Łódzkie Przedsiębiorstwo Budownictwa Miejskiego — 1. Obiekt zbudowano w rekordowym tempie 13 miesięcy. Oddany został do użytku w 1963 roku.

RYS.: INŻ. E. R. ORLIK

WALDEMAR MICHOWICZ

Akcja „TEUTOŃSKI MIECZ"

Jeden z publicystów nazwał rok 1934 rokiem zgonów i wielkich morderstw. Rzeczywiście. U progu tego roku, dnia 29 grudnia 1933 r. ofiarą zamachu członków faszystowskiej organizacji „Żelazna Gwardia" padł rumuński premier dr Duca. 30 czerwca 1934 r. w ciągu tzw. „nocy długich noży" Hitler krwawo rozprawił się z szefem SA E. Röhnem i jego najbliższymi współpracownikami oraz niektórymi swoimi przeciwnikami z drobnomieszczańskiego i burżuazyjnego obozu (gen. Schleicher). Dnia 25 lipca hitlerowscy zamachowcy zamordowali kanclerza Austrii Dolffussa. 9 października od kul zginęli król Jugosławii Aleksander I oraz minister spraw zagranicznych Francji Ludwik Barthou. Z uwagi na rozgłos i międzynarodowe znaczenie właśnie to ostatnie zdarzenie zasługuje na szczególne zainteresowanie.

Dnia 9 października 1934 r. o godz. 16 jugosłowiański krążownik „Dubrownik" wpłynął do portu marsylskiego w towarzystwie honorowej eskorty. Okręt wiózł króla Aleksandra I, przybywającego z oficjalną wizytą na zaproszenie prezydenta i rządu Republiki Francuskiej. Dostojnego gościa powitał na nabrzeżu „Starego Portu" minister spraw zagranicznych Francji L. Barthou. W chwilę po powitaniu obaj mężowie stanu w towarzystwie gen. Georgesa zajęli miejsca w odkrytym samochodzie osobowym i wśród wiwatujących tłumów ruszyli w kierunku śródmieścia Marsylii. Samochód królewski poprzedzała grupa kawalerzystów, następnie auto wiozące osoby ze świty króla oraz drugi oddział kawalerzystów. Kilka kroków za autem jechało na koniach dwóch wyższych oficerów francuskich. Orszak zamykał oddział trębaczy na koniach. Dla wypadków, które miały nastąpić za kilka minut duże znaczenie posiadały trzy okoliczności: 1) samochód jechał z szybkością 4 km zamiast przewidzianych w takich sytuacjach 20 km na godzinę, 2) samochód posiadał z obu stron stopnie, na których można było swobodnie stanąć, 3) po obydwu stronach trasy przejazdu gościa żołnierze gwardii narodowej i policjanci nie tworzyli ścisłego kordonu, lecz byli rozstawieni w odstępach około 10 m jeden od drugiego.

W momencie, kiedy auto z królem Aleksandrem i ministrem Barthou skręciło z głównej ulicy Marsylii, ul. Cannebiere, na plac Giełdy rozległ się ostry gwizd. Spłoszony koń płk. Pioletta, eskortującego królewski samochód z prawej strony, stanął dęba. W tej sekundzie jakiś osobnik wybiegł z tłumu widzów na jezdnię i mimo pościgu kilku widzów oraz policjantów wskoczył na stopień samochodu. Nastąpiła seria wystrzałów. Pierwszy upadł ciężko ranny w brzuch gen. Georges, który usiłował przeszkodzić zamachowcowi. Ugodzony siedmioma kulami w głowę i piersi król Aleksander osunął się na oparcie siedzenia. Minister L. Barthou został ranny w ramię. Wszystko to dokonało się w ciągu kilku sekund. Zamachowiec jeszcze strzelał, kiedy dosięgło go kilka osób i szabla pułkownika Piolleta. Mimo dwóch ciętych ran czaszki terrorysta usiłował uciekać. Ugodziły go jednak kule policjantów. Kilka sekund potem tłum dokonał na miejscu samosądu.

Po opanowaniu przez policję zamieszania, auto królewskie ruszyło szybko w stronę prefektury, wciąż witane na dalszych ulicach okrzykami „Niech żyje król!" Mimo natychmiastowej pomocy lekarskiej w prefekturze, Aleksander zmarł około godz. 16.20. O godz. 17.40 zmarł na operacyjnym stole Barthou. Kiedy policja i eskorta zajęte były zamachowcem, minister nie zauważony, sam wysiadł z samochodu, zatrzymał znajdujący się najbliżej pojazd i kazał się zawieźć do szpitala. Nie pomogła transfuzja krwi. Barthou zmarł poinformowany przez lekarzy, że Aleksander czuje się dobrze i nic mu nie grozi. Jego ostatnie słowa brzmiały podobno: „Nic nie widzę, gdzież są moje okulary?"

Mord w Marsylii wywołał ogromne wrażenie w całym świecie. Szczególnie wzburzona była francuska opinia publiczna. W Paryżu odbyły się masowe demonstracje przeciwko policji, która mimo ostrzeżeń o planowanym zamachu nie potrafiła wywiązać się ze swych obowiązków. Kim był zamachowiec, czy zamachowcy? Przy bezpośrednim zabójcy znaleziono paszport na nazwisko Piotra Kelemana, obywatela czechosłowackiego, kupca zamieszkałego w Zagrzebiu. Wkrótce jednak śledztwo wykazało, że paszport był sfałszowany a zamachowiec nazywał się Vlado Georgiew i pochodził z Macedonii. Nie działał sam. Aresztowani zostali trzej jego wspólnicy: Milan Raić, Zwonimir Pospisil oraz Milo Kralj. **Wszyscy byli członkami chorwackiej organizacji terrorystycznej „Ustaszi".** Organizatorami zamachu byli przywódcy tej organizacji Ante Pawelicz i Eugen Kwaternik, którym udało się zbiec do Włoch, gdzie uzyskali azyl polityczny(!). Śledztwo toczyło się bardzo opieszale. Dopiero w lutym 1936 r. zamachowcy znaleźli się przed sądem w Aix-en Provence i zostali skazani na dożywotnie ciężkie roboty. Jednakże ani śledztwo, ani przewód sądowy nie ujawniły wszystkich okoliczności zamachu w Marsylii. **Stało się tak dlatego, ponieważ rząd francuski zorientował się, iż nici spisku sięgały do Rzymu i Berlina, a ówczesna Francja nie chciała sobie komplikować stosunków z Włochami i Trzecią Rzeszą.**

Zamach październikowy w Marsylii zorganizowany został **na zlecenie dyplomacji hitlerowskiej i nosił kryptonim „Teutoński miecz".** Odpowiedzialnym za przeprowadzenie akcji był ówczesny attaché wojskowy Rzeszy w Paryżu kpt. Hans Speidel (obecnie generał, niedawny naczelny dowódca sił lądowych NATO w Europie Środkowej). W dniu 1 września 1934 r. otrzymał on tajne pismo od H. Goeringa, ministra lotnictwa III Rzeszy o następującej treści: **„W załączeniu przesyłam Panu dwa zarządzenia Führera i Kanclerza Rzeszy, dotyczące akcji „Miecz Teutoński" oraz opracowane jednocześnie przez urząd informacyjny mego ministerstwa sposoby przeprowadzenia tej akcji. Załączniki należy zniszczyć natychmiast po odczytaniu. Zniszczenie dokumentów należy potwierdzić — Goering".**

Speidel wykonał zadanie przy pomocy agentów wywiadu niemieckiego Hansa-Ericha Haacka i Vanco Michajłowa.

Spiskowcy — Hitler i Bormann

Dlaczego zginęli Aleksander i Barthou? Dlaczego ośrodkami dyspozycyjnymi były Rzym i Berlin? Inicjatywę Mussoliniego w sprawie zamachu tłumaczy zainteresowanie Włoch strefą naddunajską i Bałkanami. Faszystowski dyktator Włoch, marzący o potędze dawnego Imperium Rzymskiego był wrogo nastawiony do każdej koncepcji, która wzmacniałaby pozycję Francji na Bałkanach i w basenie Dunaju uważając, że powinna to być naturalna sfera wpływów Italii. Tymczasem jedną z podstawowych zasad polityki zagranicznej Aleksandra była dążność do zdobycia dla Jugosławii przodującej pozycji na Bałkanach przy pomocy Francji. Wyrazem tego było niewątpliwie wejście Jugosławii w lutym 1934 r. do tzw. Paktu Bałkańskiego (Jugosławia, Grecja, Turcja, Rumunia) oraz entuzjastyczne przyjęcie L. Barthou wiosną tegoż roku w Belgradzie. Przy tym wszystkim Aleksander przeciwstawiał się rosnącym w swoim kraju wpływom niemieckim. Skłonny był wprowadzić Jugosławię do kolektywnego systemu bezpieczeństwa w Europie Południowej, według koncepcji kiełkującej w gabinecie L. Barthou (znowu Francją!) pod nazwą tzw. Paktu Śródziemnomorskiego. Ważną okolicznością był fakt, iż w przeciwieństwie do Niemiec, Włoch i Węgier, które należały do obozu rewizjonistycznego w Europie, Jugosławia była państwem antyrewizjonistycznym, uznającym granice i system polityczny wypracowany w Wersalu w 1919 roku.

W swoich naciskach na Jugosławię, Włochy mogły wykorzystywać jej dość skomplikowaną sytuację narodowościową. Głównym czynnikiem dzielącym narody Jugosławii był antagonizm serbsko-chorwacki, pogłębiający się w miarę, jak król Aleksander w dążności do unifikacji państwa rozpoczął likwidowanie autonomii poszczególnych prowincji. Grupa opozycjonistów chorwackich na czele z dr Ante Paweliczem zbiegła za granicę i tam utworzyła terrorystyczną, faszystowską organizację „Ustasza" (Powstaniec). Organizacja posiadała szkoleniowo-wojskowe obozy na Węgrzech i we Włoszech. Bardzo silny ośrodek miała „Ustasza" w stolicy Niemiec. To tam drukowany był organ ustaszowców „Nezavisna Hrvatska Država", który w artykule z 16.IV.1934 r. po wyliczeniu rzekomych zbrodni Aleksandra wobec Chorwatów pisał: „biorąc pod uwagę to wszystko, co wyżej powiedziano, skazujemy Aleksandra Karageorgiewicza na śmierć. Rewolucjoniści chorwaccy mają wykonać ten wyrok w jak najszybszym terminie". Ludzi spod znaku „Ustaszi" można było łatwo wykorzystać i wykorzystano ich, sugerując, jakoby zamach w Marsylii był wewnętrzną sprawą Jugosławii.

Osobą wielekroć niebezpieczniejszą od Aleksandra był dla III Rzeszy L. Barthou. Ten już 72-letni doświadczony polityk, kilkakrotny minister, premier Francji w 1913 r., rozwinął bardzo energiczną akcję na rzecz stworzenia w Europie systemu bezpieczeństwa zbiorowego. Barthou był wyrazicielem tego odłamu burżuazji francuskiej, który pragnął zabezpieczenia Francji przed ekspansją niemiecką za pomocą stworzenia, przy uczestnictwie Niemiec, takich paktów regionalnych, które uniemożliwiłyby Trzeciej Rzeszy agresję (Por. „Odgłosy" nr 35 (artykuł „Czy musiało dojść do wybuchu II wojny światowej?"). **W Berlinie doskonale zdawano sobie sprawę z niebezpieczeństwa realizacji francusko-radzieckich planów Paktu Wschodniego dla niemieckiej polityki budowy „nowego porządku" w Europie.** Wprowadzenie Niemiec do paktu nader skutecznie mogłoby skrępować swobodę ruchów hitlerowskiej dyplomacji. Istniało jeszcze inne niebezpieczeństwo. Niemcy mogły storpedować koncepcję Paktu Wschodniego na gruncie dyplomatycznym. Nie mogły jednak zapobiec realizacji innego wariantu planu stabilizacji pokojowych stosunków w Europie. Istniały poważne, realne szanse, iż w wypadku odrzucenia koncepcji Paktu Wschodniego przez Niemcy i Polskę dojdzie do zawarcia dwustronnego układu sojuszniczego między Republiką Francuską i Związkiem Radzieckim, co byłoby równoznaczne z powrotem do sojuszu francusko-rosyjskiego sprzed 1914 r., tak fatalnego w skutkach dla Niemiec wilhelmowskich.

Dlatego Berlin nie ograniczył się tylko do zwalczania francusko-radzieckiej koncepcji systemu bezpieczeństwa zbiorowego w prasie i na drodze dyplomatycznej. Zanadź wyrok śmierci na szczerego zwolennika polityki pokojowej w Europie, wielkiego realistę Ludwika Barthou. Znamienne były słowa Goeringa wypowiedziane w Belgradzie podczas pogrzebu Aleksandra: „Mam nadzieję, że wraz ze śmiercią Barthou zniknie również z widowni jego polityka".

Zamach w Marsylii miał wielorakie następstwa. Obok wzrostu napięcia w stosunkach jugosłowiańsko-węgierskich, jugosłowiańsko-włoskich doprowadził do upadku gabinetu G. Doumergue we Francji i ochłodził stosunki francusko-jugosłowiańskie. Na Bałkanach coraz bardziej słabły wpływy Francji, której pozycje starał się zająć Mussolini. Najistotniejszą jednak konsekwencją wypadków marsylskich była zmiana kierunku polityki zagranicznej Francji. Miejsce Barthou zajął P. Laval, **przedstawiciel tego odłamu burżuazji, który bezpieczeństwo Francji pragnął zapewnić na drodze porozumienia z Hitlerem.** Nowy kierunek francuskiej polityki zagranicznej był kierunkiem ustępstw i kapitulacji. Zwolennicy tej polityki zaprzepaścili dzieło L. Barthou. Ich szlak wiódł poprzez Monachium do katastrofy w 1940 roku.

(Obok literatury wymienionej w artykule, Czytelnik może sięgnąć do następujących prac: F. Bernaś, L. Meissner, Brunatni siewcy śmierci, Warszawa 1960; J. Jurkiewicz, Pakt Wschodni, Warszawa 1963; G. Tabouis, Vingt ans de „suspense" diplomatique, Paris 1958).

DOKTOR JUDYM SPOD SZTANCY

Dalszy ciąg ze str. 1

niej wygląda Warszawa, która gościnnie przyjęła szóstą część wszystkich lekarzy, do pracowując się wskaźnika, nieosiągalnego nawet w komunizmie. Na Rzeszowszczyźnie istnieje stan rzeczy, który nawet w warunkach przedwojennych wzbudziłby co najmniej dyskusje. Zapobieżenie dalszemu nierównomiernemu i niczym nie uzasadnionemu rozmieszczeniu lekarzy na mapie kraju stało się koniecznością życiową.

Przede wszystkim zaczęto ściśle limitować etaty lekarskie w dużych ośrodkach miejskich. W ten sposób zamknięto dopływ nowych kadr do miast, tworząc nie bardzo doskonałe status quo. Z góry bowiem zrezygnowano z istniejących mimo wszystko rezerw. Ale przynajmniej najmłodsze roczniki lekarzy miały odtąd trafiać do szczególnie deficytowych rejonów kraju. Cały ciężar nowej polityki kadrowej ministerstwa przerzucono więc na barki młodzieży.

W tych warunkach instytucja stażu nabiera szczególnej rangi. Zdaje się zrozumieli to już wszyscy, ale przynajmniej w wypadku departamentu kadr ministerstwa zdrowia zadowolono się samym zrozumieniem. W szpitalach, do których trafiają nowe roczniki lekarzy, często trudno nawet o zrozumienie. A tymczasem od organizacji i przebiegu stażu zależy w dużej mierze przyszłość naszej ochrony zdrowia.

Może tylko sami stażyści potrafili zrozumieć wagę swojej roli i konsekwencje nowej polityki kadrowej resortu zdrowia. Jest oczywiście, pewna grupa młodych lekarzy zdecydowanych raczej umrzeć z głodu, albo zmienić zawód, niż wyjechać z Warszawy, Krakowa czy Łodzi, ale nie jest ona aż tak liczna, jakby to może wyglądało. Ludzie ci mają zresztą pewne swoje racje zasługujące na uwagę: musieliby często porzucić miasto, w którym się urodzili i wychowali, zostawić najbliższą rodzinę, a nawet rozerwać małżeństwo, gdy charakter pracy życiowego partnera nie daje mu żadnych szans zatrudnienia w małym miasteczku. Tej grupie młodych lekarzy nadają rozgłosu pewne desperackie kroki popełniane niekiedy w celu zamanifestowania swej woli pozostania na miejscu. Raz po raz dochodzą nas wiadomości o lekarzach, którzy kończą kursy rzemieślnicze i zamieniają się w spawaczy, hydraulików, monterów, byle tylko nie opuścić miasta. Inni zabiegają o bezpłatny wolontariat w szpitalach łudząc się, że w przyszłości znajdą tam zatrudnienie.

Można by pomyśleć, że jest to bezrozumny upór, za który słusznie ci młodzi ludzie ponoszą tego rodzaju konsekwencje. Sprawa nie przedstawia się jednak tak prosto. Grupa rzeczywistych desperatów jest stosunkowo nieliczna i w żadnym razie nie byłaby zdolna do stworzenia tego stanu alarmowego, który obserwujemy w miastach akademickich. Coraz częściej jednak do desperatów przyłączają się młodzi lekarze pełni najlepszej woli wyjazdu, którym niestety nie stworzono szans podjęcia pracy w terenie, albo też stworzono taką szansę na warunkach nie do przyjęcia.

W ciągu dwóch lat stażu młody lekarz ma obowiązek przejścia przez tygiel czterech podstawowych specjalności: interna, chirurgia, pediatria i położnictwo. Małe szpitale na prowincji najczęściej nie posiadają oddziałów w zakresie wszystkich specjalności i w takim wypadku czeka stażystę perspektywa przenosin z miasteczka do miasteczka co parę miesięcy, aby na koniec, po uzyskaniu kwalifikacji zawodowych od początku szukać zatrudnienia. Etat stażowy nie ma bowiem nic wspólnego z umową o pracę zawartą na czas nieoznaczony i nie musi, a nawet z reguły nie jest uwieńczony taką umową. Dodajmy, że wynagrodzenie (1350 zł brutto) też nie stwarza najmniejszej pokusy. Nawet uzyskanie dobrego miejsca stażowego nie daje młodemu lekarzowi poczucia stabilizacji. Jest to przecież azyl tylko na dwa lata, a więc mniej niż mało.

Na szczęście dla ministerstwa stażyści nie stawiają żadnych wymagań, choć mają do nich moralne prawo. Chcą mieć tylko poczucie pewności dnia jutrzejszego i zapewnienie choćby skromnych warunków mieszkaniowych. Niestety, nie gwarantuje im się nawet miejsca stażowego, siłą więc rzeczy wymagania w ogóle nie wchodzą w rachubę. Istniejąca sytuacja stwarza przypuszczenie, że aktualnie ilość młodych lekarzy przewyższa ilość etatów stażowych. W województwie łódzkim np. nie ma ani jednego wolnego miejsca do lutego roku przyszłego. Podobnie wygląda to w innych regionach. Na politykę kadrową ministerstwa zdrowia trzeba więc spojrzeć bardzo krytycznie.

Jak wspomniałem, stażyści doceniają i potrafią właściwie zrozumieć znaczenie stażu. Wydawać by się więc mogło, że i szpitale, do których młodzi lekarze trafiają niekiedy nawet bezpośrednio po uzyskaniu dyplomu, rezygnując z ostatnich studenckich wakacji rewanżują się im tym samym. Niestety taki stosunek jest czymś wyjątkowym, na ogół bowiem traktowani są przez starszy personel, jako kategoria ludzi posledniejszych, a okazywane im lekceważenie szybko podchwytują pielęgniarki i salowe, a nawet pacjenci.

Lekceważąco traktowani w dużych miastach i wypędzani na prowincję kontynuują stażyści akademicki tryb życia, stołując się w kuchniach szpitalnych i zamieszkując po kilku pokoiki przydzielone im niekiedy przez pracodawcę.

Idea równomiernego rozmieszczenia kadr lekarskich we wszystkich zakątkach kraju jest na pewno słuszna, ale jej realizacja musi budzić uzasadnione obawy.

JERZY DARNAŁ

HANDEL „Sprawiedliwością"

Dalszy ciąg ze str. 1

...Zostawmy jednak sprawę Styczyńskiego, miał on jeszcze później mnóstwo kłopotów i musiał sam sobie radzić i co ważniejsze sam płacić za wolność, bo oto na plan wchodzi gruba ryba: Aleksander Reichert — król firanek, właściciel pięciopokojowego domu z placem. Człowiek, który ma pieniądze, a co ważniejsze nawet: kochającą żonę. To właśnie panią Reichertową Zygmunt Nowakowski spotkał któregoś dnia, wkrótce potem jak udało mu się zwolnić wspólnika, rozpaczającą z powodu aresztowania męża. Król firanek bowiem, musimy to szczerze wyznać, zachował się nie jak poważny finansista, a jak zwykły oszust. Dyrekcji państwowego przedsiębiorstwa „Bazar" usiłował sprzedać wyprodukowaną przez siebie niepełnowartościową watolinę jako towar I klasy. No i znalazł się w więzieniu, a teraz jego małżonka rozpaczała. Nowakowski pocieszył ją jednak: jest w Łodzi adwokat, który spowoduje uwolnienie męża. Nazywa się Niedźwiedzki...

Uczynny dyrektor udał się więc na prośbę Reichertowej znowu do mieszkania adwokata Niedźwiedzkiego. Tym razem mecenas powołał się na dyrektora szpitala więziennego Henryka Głąbika...

Gdy padło to nazwisko prokuratorzy z Prokuratury Łódzkiej przesłuchujący Nowakowskiego zdali sobie sprawę, że afera zaczyna przybierać szeroki krąg.

3.

We wstępnej prezentacji zapomnieliśmy dodać, że Krystyna Wojtyra-Klinger była matką trojga dzieci. Ten pozornie drobny szczegół ma jednak swoje znaczenie. Gdy bowiem dyrektor szpitala więziennego Henryk Głąbik zwolnił ją z pracy sekretarki, Krystyna Wojtyra-Klinger postanowiła walczyć... W końcu chodziło o chleb dla jej dzieci. Owocem tej walki był jej raport do Prokuratury dla miasta Łodzi, w którym oskarżała dyrektora szpitala więziennego, lekarza tegoż więzienia Aleksandra Skwarczewskiego, felczera Krzysztofa Wiśniewskiego o przyjmowanie łapówek za przenoszenie aresztowanych z więzienia do szpitala, wydawanie fałszywych zaświadczeń lekarskich, służących odroczeniu w odbywaniu kary oraz inne takie „drobiazgi". Jako pośredników, którzy od rodzin więźniów wręczali lekarzom więziennym pieniądze, sekretarka szpitala więziennego wymieniła adwokatów Ciesielskiego i Niedźwiedzkiego. Nie doceniła jednak Wojtyra-Klinger mecenasa Niedźwiedzkiego. Dzięki zabiegom poczynionym przez niego, na co złożyło się nakłonienie przez niego świadków do złożenia fałszywych zeznań i fałszywego oskarżenia, wkrótce sytuacja wyglądała następująco: śledztwo przeciwko kierownictwu szpitala więziennego zostało umorzone, natomiast do Sądu Wojewódzkiego wpłynął akt oskarżenia przeciwko, tak — oczywiście domysły Twoje Czytelniku są słuszne, Krystynie Wojtyrze-Klinger, podejrzanej o przyjmowanie korzyści majątkowych od więziennych pacjentów szpitala... Nie chcemy bynajmniej twierdzić, że Wojtyra-Klinger była kobietą świętą, wykazującą kompletny brak zainteresowania dla dóbr doczesnych. W każdym razie w porównaniu z więziennymi rekinami, których oskarżała, była drobną płotką. Wyrok Sądu Wojewódzkiego w tej sprawie napawa optymizmem, jest bowiem uniewinniający, co oczywiście świadczy o bezsilności przekupnej kliki.

I dopiero teraz, Krystyna Wojtyra-Klinger staje się koronnym świadkiem oskarżenia. Jej opowieść o stosunkach w szpitalu więziennym, w którym za pieniądze można było załatwić wszystko lub prawie wszystko, w którym lekarze stosowali pacjentom blokady nowokainowe, by uniemożliwić ich stawiennictwo przed sądem, wystawiali zdrowym zupełnie ludziom orzeczenia mówiące, że pobyt w więzieniu zagraża ich życiu a nawet dokonywali dwukrotnego zabiegu przerwania ciąży więźniarce, która bardzo pokochała pewnego funkcjonariusza więziennego, w dużej mierze przyczyniła się do zdemaskowania i postawienia przed sądem łapówkarskiej kliki. Największą zasługę w tej sprawie mają na pewno łódzkie organa MO, które przeprowadziły najtrudniejsze fazy śledztwa. Sprawa oznaczona sygnaturą II Ds 119/58 znowu nabrała urzędowej mocy...

Wróćmy jednak do sprawy Aleksandra Reicherta. W tym procesie jest wiele takich spraw, ale w historii Reicherta jak w soczewce skoncentrował się cały mechanizm tego handlu „sprawiedliwością".

Bronisława Reichert, znana nam już czuła małżonka, wręczyła więc mecenasowi Niedźwiedzkiemu 10 tys. zł, za które miał on przez dyrektora szpitala więziennego — Głąbika, spowodować zwolnienie jej męża z więzienia przy ulicy Szterlinga. Mecenas odwiedza więc lekarza, zapewnia go, że Reicher towie są ludźmi zamożnymi, a że ten — jak miał oświadczyć — był właśnie bez pieniędzy to Niedźwiedzki „pożycza" mu 5 000 zł. Sam Głąbik nie może oczywiście wydać takiego orzeczenia, które by otworzyło bramy więzienia przed Reichertem, w tym celu musi wciągnąć do spółki lekarza szpitala Aleksandra Skwarczewskiego. Gdy zwraca się do niego w tej sprawie, okazuje się, że Skwarczewski wszystko już wie i nawet działa... Czuła bowiem małżonka nie poprzestała jedynie na interwencji za pośrednictwem adwokata Niedźwiedzkiego. Za sumę 40 tys. zł na poczet 100 tys. określonych jako całość wydatków związanych z powrotem Aleksandra Reicherta do domu, były biegły sądowy z zakresu księgowości, Jarosław Hykawy, obiecał jej powrót męża do domu. On to właśnie dał adres dr. Skwarczewskiego pani Reichertowej.

Zobaczymy teraz jak pracowały pieniążki pani Reichertowej...

3 października 1957 roku na zapytanie prokuratury o stan zdrowia Aleksandra Reichera (prokuraturze chodzi o kontynuowanie śledztwa) lekarz więzienny wystawił orzeczenie, mówiące, że więzień ten nie kwalifikuje się na komisję lekarską. W miesiąc później jednak w karcie ambulatoryjnej Aleksandra Reicherta można znaleźć zapis dokonany ręką felczera więziennego Wiśniewskiego, że „ze względu na potrzebę przedstawienia więźnia komisji lekarskiej konieczne jest umieszczenie Aleksandra Reicherta w szpitalu więziennym". W dwa miesiące później dr Skwarczewski zawnioskował już przedstawienie Aleksandra Reicherta komisji lekarskiej. Ale okazało się to niepotrzebne. Sam bowiem dr Skwarczewski wydał orzeczenie, że „dalszy pobyt Reicherta w więzieniu wpłynie na nasilenie dynamiki procesu a więc pogorszenie zmian patologicznych". To właśnie orzeczenie stało się podstawą do uchylenia przez sąd aresztu wobec Aleksandra Reicherta. Biegły sądowy występując obecnie przed Sądem Wojewódzkim w Warszawie określił to orzeczenie lekarskie Skwarczewskiego jako „bezkrytycznie nadęte"...

Aleksander Reichert wrócił więc do domu, ale wkrótce jego proces odbył się przed Sądem Powiatowym, który skazał go na dwa lata więzienia i 100 000 zł grzywny. Król firanek poinformowany przez żonę, jaką rolę w jego uwolnieniu z aresztu odegrał adwokat Niedźwiedzki, udaje się tym razem sam do wszechwładnego mecenasa. Ale załatwienie w rewizji wyroku uniewinniającego jest kosztowne, Niedźwiedzki upiera się, że o mniejszej sumie niż 100 tys. zł nie może być w ogóle mowy. Obaj panowie zaczynają się targować ale wreszcie zwycięża zdrowy rozsądek i logika, której nie na darmo uczą prawników.

— O co panu chodzi, panie Reichert — argumentował Niedźwiedzki — został pan skazany na zapłacenie 100 tys. zł grzywny. Zamiast wpłacić je do skarbu państwa, da je pan mnie i jeszcze otrzyma pan wolność...

I rzeczywiście wyrokiem Sądu Wojewódzkiego z lipca 1959 Aleksander Reichert został uniewinniony... W sprawę wdał się jednak Prokurator Generalny, który założył rewizję nadzwyczajną od tego wyroku. W konsekwencji odbyła się nowa rozprawa przeciwko Aleksandrowi Reichertowi, która utrzymała w mocy skazujący wyrok sądu I instancji. W tym czasie jednak Reichert znowu został aresztowany, a to w związku ze sprawą, której bieg nadała Krystyna Wojtyra-Klinger. I znowu Niedźwiedzki radzi czułej małżonce, że dobrze by było spowodować przeniesienie „króla firanek" do szpitala więziennego, a później to się zobaczy... On to może załatwić z Głąbikiem za jakieś 15 do 20 tys. zł. Czy to jednak Reichertowa straciła zaufanie do Niedźwiedzkiego czy też tym razem pragnęła dla męża bardziej kwalifikowanych usług prawnych, faktem jest, że w tej sprawie zwróciła się również o poradę do mecenasa Ciesielskiego. Ciesielski był też dobrym znajomym Głąbika i o dziwo wymienił nawet identyczną co Niedźwiedzki sumę, za którą można będzie przenieść Aleksandra Reicherta do szpitala więziennego. Ciesielski połowę sumy z 20 tys. zł zatrzymał dla siebie, resztę rzeczywiście przekazał Głąbikowi. Tym razem Głąbik liczył na pomoc ordynatora szpitala więziennego Mikołaja Maraska... Marasek zgodził się i poradził by Reichert zaczął się w więzieniu uskarżać na zły stan zdrowia, bo tylko wówczas będzie mógł przenieść go do szpitala.

Jest już jednak rok 1962, sprawa się przeciąga a tu tymczasem w Prokuraturze Łódzkiej padają, znane nam już, ważkie słowa Zygmunta Nowakowskiego, który chciał mieć spokojne sumienie. Bronisława Reichert zostaje aresztowana i jej mąż, również kochający i czuły a poza tym w wolnych chwilach lubiący pisać wierszyki, mógł jej teraz przesłać do więzienia utwór, w którym m. inn. czytamy: „Zła dola sprawiła, że prokuratura wolności nas pozbawiła"...

W tym handlu „sprawiedliwością" obowiązuje jednak uczciwość... Gdy Głąbik nie mógł już załatwić sprawy Reicherta, zwrócił pieniądze, które wziął od adwokata Ciesielskiego.

4.

W jednym tylko wypadku dr Głąbik nie był w stanie zwrócić pieniędzy i miał z tego powodu sporo kłopotów. Otóż jeszcze w 1957 roku dwu Cyganów — Knapik i Michał Kwiek, zostało aresztowanych na podstawie doniesienia pewnego piekarza łódzkiego, który ich małodusznie oskarżył o kradzież 1080 dolarów amerykańskich. Żona Knapika — Uludja — znała Wojtyrę-Klinger, która pracowała również na pół etatu w cygańskiej spółdzielni kotlarzy i za jej pośrednictwem dwaj Cyganie weszli w kontakt z Głąbikiem i Skwarczewskim. Za skromne 12 tys. zł na twarzy Knapika objawił się tak groźny obrzęk, że natychmiast trzeba było przenieść go do szpitala więziennego. W miarę jak Cyganie płacili, stan zdrowia Knapika i Kwieka stale się pogarszał, u tego ostatniego wykryto nawet zmiany w miąższu wątroby, co spowodowało uchylenie wobec niego aresztu.

Gdy synalek wyszedł z aresztu opowiedział tatusiowi, staremu Trojanowi Kwiekowi, prezesowi spółdzielni, co to za dobry ten lekarz z Głąbika. Udał się więc stary Kwiek do dyrektora szpitala więziennego i powiedział: doktorze, koszty nie grają roli. Ja dam 100 tys. złotych, a pan załatwi uniewinniający wyrok dla mojego syna, Michasia. I położył na stole 100 tys. złotych. Głąbik oczywiście, nie mógł czegoś takiego załatwić sam, nie był przecież sędzią; ale ponieważ — jak sam opowiadał później w śledztwie — po raz pierwszy w życiu zobaczył naraz taką masę pieniędzy, nie mógł się oprzeć i przyjął je.

W sprawie zapadł wyrok: skazujący obu Cyganów na rok więzienia z zawieszeniem.

Teraz jednak zaczęły się tarapaty. Stary Kwiek rozumował bowiem, że jak zapłacił 150 tys. zł to ma prawo oczekiwać absolutnego oczyszczenia swojego syna z zarzutów, a nie żadne tam połowiczne zawieszenie kary. Zaczął więc nachodzić Głąbika i żądać zwrotu pieniędzy. Wówczas ten obiecał mu, że załatwi sprawę syna w sądzie rewizyjnym. Przez niejakiego Starczewskiego i Ratajczyka dotarł więc do sędziego Sądu Wojewódzkiego Bronisława Wiśniewskiego, który za 10 tys. zł obiecał wydać wyrok po myśli Kwieka. Oczywiście pieniądze na ten cel pochodziły z kieszeni Cyganów.

Wyrok Sądu Wojewódzkiego, w którego składzie orzekającym brał udział sędzia Wiśniewski (obecnie ciężko chory i dlatego nie można było go postawić przed sądem) orzekł odesłanie całej sprawy do ponownego rozpatrzenia przez sąd I instancji.

Ten nowy wyrok zupełnie już rozwścieczył Cyganów, którzy może nawet nie bez racji, uważali, że nabito ich znowu w butelkę... Od łagodnych perswazji przeszli więc do akcji bardziej zdecydowanych. Gdy dr Głąbik wchodził do kawiarni momentalnie pojawiało się kilku Cyganów, którzy nie krępując się na głos mówili: pan doktor zwróci pieniądze czy też mamy zaraz dzwonić na MO." Cyganie lubili nachodzić dr Głąbika, zwłaszcza wtedy, gdy ten miał w swoim gabinecie pacjentkę na fotelu ginekologicznym. Oznajmiali mu wówczas, by sobie nie przeszkadzał, oni na swoje pieniądze już tak długo czekają, to poczekają jeszcze te pół godziny...

A dr Głąbik rzeczywiście nie miał już tych pieniędzy. Z tej fatalnej sytuacji wybawił dr Głąbika dopiero prokurator, który przyjechał go aresztować...

5.

Tak wyglądał handel „sprawiedliwością". Zdecydowana akcja łódzkich organów ścigania MO i Prokuratury ukróciła ten ohydny proceder i w jej wyniku na ławie oskarżonych zasiadło 21 łapowników. Proces ten będzie stanowił groźne memento dla tych, którzy by w przyszłości chcieli kupczyć sprawiedliwością.

ANDRZEJ BERKOWICZ

Kronika antytelewizyjna

PONIEDZIAŁEK

Teatr Telewizji — który się podoba, który oglądają w klubach miejskich i wiejskich, jest właśnie zaprzeczeniem tezy o konieczności „zaniżania poziomu", o niezbędności sztuki łatwej, przetrawionej i bezmyślnej. Od lat Teatr Telewizji utrzymuje swój repertuar na najwyższym poziomie — nie cofa się przed wielką klasyką („Kordian", „Wesele") i przed wielką współczesnością (Brecht i Giraudoux, Joyce, Frisch, Breza). W tym wyjątkowym programie, w cyklu, którego doprawdy mogą nam zazdrościć telewizje Europy, milionowej widowni prezentuje się spektakle, które w repertuarze „normalnego" teatru okrzyczano by jako elitarne, zbyt trudne, nużące, kłopotliwe. A mimo to w ankietach i listach telewidzów systematycznie powtarza się rubryka: najchętniej oglądam... sprawozdania sportowe, programy rozrywkowe i... Teatr Telewizji. Właśnie poniedziałki gromadzą przed odbiornikami bywalców klubów i świetlic.

Wszystko to a propos „Biedermanna i podpalaczy" Frischa.

WTOREK

Rzadką nieudolność przejawił Pan, który zajmował się tłumaczeniem dla polskich widzów przebiegu koncertu pt. „Gratulujemy" z Niemiec. Co pewien czas sala wybuchała śmiechem, co pewien czas konferansjer mówił rzeczy dowcipne i ciekawe, co pewien czas poruszenie towarzyszyło pomysłom i programom quizowym. Natomiast nasz Pan Tłumacz monotonnym głosem cedził jedno zdanie na 10 minut. W umysłach wielu telewidzów zrodziła się uzasadniona wątpliwość czy Pan Tłumacz zna w ogóle niemiecki. Albo, może, leniwy z usposobienia?

ŚRODA

Jeszcze niedawno Telewizja Łódź usypiała nas przy pomocy znanej pieśni masowej „Ach śpij kochanie...". Ostatnio padła ona ofiarą akcji „O". Już nic nas nie usypia, już nic miłego nie może nas spotkać choćby przy końcu audycji. Inne Ośrodki nadają takie miłe, ładne piosenki. Inne Ośrodki nie są tak straszliwie oszczędne i oprawiają swoje „DOBRANOC" w urocze szatki. W Łodzi, widać, nawet ukochani zasypiają w trakcie programu.

CZWARTEK

Młodzieży, nie daj się upupić! Młodzieży, nie sądź, że program Klubu TV „Proton" przeznaczony jest dla ciebie! W rzeczywistości ma on trafić do ludzi do lat 10 i w zasadzie należałoby nadawać ową audycję w ramach cyklu „Śpiewamy i tańczymy w przedszkolu". Jest tak uładzona, tak banalnie słodka, tak wyprana z wszelkich konfliktów i problemów, tak grzeczna, że, jako żywo, przypomina socjalistyczne czytanki dla młodzieży z dobrego domu. Protonowa młodzież zajmuje się wyłącznie organizowaniem zespołów artystycznych oraz kółkami zainteresowań, w wolnych chwilach uprawia sport, prowadzi życie czyste, proste i zdrowe. Dwudziestoletnie byki myślą wyłącznie o tym, jakby tu ożywić życie kulturalne w swoich miasteczkach. Są też na to w „Protonie" stosowne przepisy: miła panienka pyta Zbigniewa Namysłowskiego: — „Co zrobić, żeby grać tak dobrze?". Świetny muzyk jest lekko zaskoczony i przez moment próbuje znaleźć odpowiedź: — „Po pierwsze, trzeba się nauczyć grać na instrumencie". Panienka przerywa: — „Ach, więc należy dużo pracować!".

I — mamy gotową receptę!

PIĄTEK

Strasznie mi przykro, ale najbardziej śmieszą mnie filmy, w których proszę leży na stole („Świat się śmieje"), albo panowie biją się przy pomocy kremu, albo inny pan wpada w beczkę ze smołą, albo zostaje oblany wodą — jak u Maxa Lindera lub u wczesnego Chaplina. Część tych gagów powtórzył Curtiz w głupawym filmie „Kobiety wolą marynarzy" — w związku z tym, film szalenie mi się podobał.

SOBOTA

TV pozbyła się żmii z własnego łona, czyli Pijanowskiego rozmawiającego z Pańskim. Za to dyr. Kuszewski i inni dyrektorzy chwalą sami swoją pracę w cyklu „Kilka słów o programie", zaś ŁOT, nie gorszy w tych chwalbach, zorganizował audycję „Telewizja i my". O coś tam niby chodziło — żeby więcej muzyki poważnej czy też mniej rozrywkowej albo na odwrót — nie rozumiem jednak, czemu rozmowy z młodzieżą na ten temat nie przeprowadzono prywatnie, u siebie w domu, albo nawet na herbacie u Naczelnego Redaktora. Dlaczego cała Polska musi być koniecznie świadkiem rozmowy, która powinna pozostać słodką tajemnicą ludzi zajmujących się układaniem programu?

NIEDZIELA

„Syncom-3" oraz „Rilway-1", samoloty z Tokio do Berlina przez Biegun Północny, 43 godziny sprawozdań filmowych; „Magazyn olimpijski", „Dziś w Tokio", wiadomości we wszystkich wydaniach Dziennika — oto do czego doprowadza nadmierny rozwój techniki! Nie wiem czy sądzić, że „Syncom" i „Rilway" na dwa tygodnie zdejmą kłopoty z głowy wszystkim odpowiedzialnym za program TV? Gdyby tak Olimpiada co ro

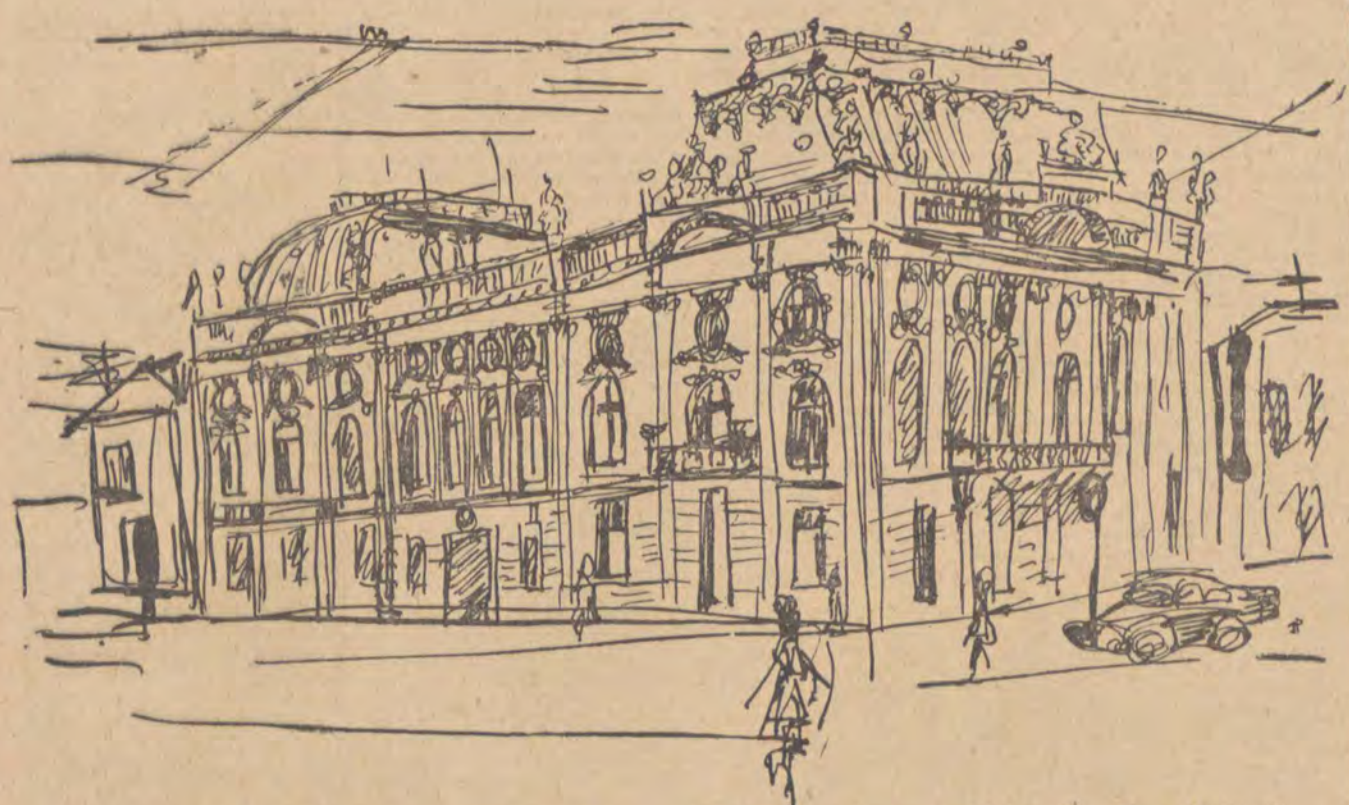

Łatwo zauważyć chodząc ulicami śródmieścia Łodzi jakiej architektury tu jest najwięcej, jakie domy tworzą wciąż jeszcze charakter centrum miasta. No bo centrum Łodzi to właściwie stare budownictwo secesyjne, kojarzące się z polską „złotą jesienią". Podobają mi się te bogate domy pełne ornamentów roślinnych, fryzów i reliefów. Wydaje mi się, że secesja i jesień uzupełniają się i dopełniają. Jesień jest taka kolorowa, dysponuje olbrzymią paletą barw, a architektura Piotrkowskiej, Zachodniej, Wólczańskiej pełna jest elementów, motywów, drobiazgów różnych epok i stylów. Nie jest kolorowa i właśnie dlatego najpiękniejsza jest na tle słońca i barw października. Przejdźcie się ulicami śródmieścia właśnie teraz, a zobaczycie sami.

JANINA PIĄTKOWSKA

ZYGMUNT FIJAS

PO LINII UNOWOCZEŚNIENIA

Żyjemy, jak wiadomo, w erze wielkich osiągnięć technicznych, wielkich wyczynów sportowych, wielkich odkryć przyrodniczych. Niemal codziennie dowiadujemy się o wspaniałych rekordach, o jakich nie śniło się nawet naszym przodkom. O północy możemy wyrwać ze snu każdego obywatela pytaniami, co to jest perigeum, peleton, Sidło, Krzyszkowiak, genetyka, mułowiec, hibernacja, a natychmiast otrzymamy bezbłędną odpowiedź.

Nasze rakiety okrążają obce planety. Nasze członki okryte są tkaninami sporządzonymi ze sztucznych tworzyw. Od niepamiętnych czasów odbywa się w naszych sklepach nieustający taniec remontów, remanentów oraz takich zjawisk handlowych, jak narzut, niedobór, superata czy... marża garmażeryjna.

Ale o tych terminach nic nie mówią nasze kalendarze. Nasze kalendarze świecą ciągle tymi samymi, nic nikomu nie mówiącymi imionami jak Iścisław, Siemiomysł, Ziemowit, Alfons, Justyna, Jacek! Bo co dzisiaj możemy powiedzieć o męczeństwie świętej Justyny albo o świętości Jacka? Co wiemy o świętym Janie w Oleju?

Już najwyższy czas, aby nasza era wycisnęła na kalendarzach swą pieczęć. Podajemy, na razie prowizorycznie, czyli jak mówią filmowcy, „na rybkę", kilkanaście nowoczesnych imion w połączeniu ze starymi w formie i treści nazwiskami.

Oto kilka nazwisk z dziedziny sztucznych tworzyw:
(Octan celulozy) Acetyloceluloza Szyszkiewicz.
(Wełna lanitalowa) Lanital Abakanowicz.
(Sztuczny róg) Galalit Skrabasiński.
(Tkanina utwardzona) Trojga imion — Tekstolit Kanvas Novotex Pelcowiński.

Żeby czytelnikom nie utrudniać rozumienia, pozostawiamy na uboczu całą rodzinę ciężkich promieniotwórczych metali w rodzaju „tor 90/Th", „protaktyn 91/Pa/" oraz „transuranowców" otrzymywanych w laboratoriach sztucznie niemal na naszych oczach. Nie bierzemy pod uwagę istnienia takich nowoczesnych związków chemicznych jak chloromecytyna, auromycyna, terracyna, oxyterracyna, hydrocortyzon. Z lubością natomiast czerpiemy nowe imiona z handlu, rolnictwa, sportu etc.

Oto garstka propozycji naszego nowego kalendarza:
Preselekcja Wasiutyńska.
Remont Narzut Marża-Remanentowicz.
Aerodynamo Ciastoń.
Skafander Świechło.
Specyfikacja Walentynowicz.
Peleton Wyczesany.
Histochemia Waligóra.
Elektrociepłownia Kokopsztycka.
Przecena Abrakadabra.
Jarowizacja Połomska.

Koniugacja Mardułowa (nie mylić z odmianą czasowników; w tym wypadku chodzi o „koniugację", czyli „sprzęganie" wymoczków).
Sidło Krzyszkowiakowa.
Technokracja Ambraszko.
Polinia Ambrożewska.
Priorytet Jeleński.

Pozostaje nam jeszcze jako rezerwa dla naszego nowego kalendarza wiele tysięcy takich terminów i nazw, jak Żywica-mocznikowa, Mowilit, Mipolam, Luwikan, Silikan, Pleksiglas, oraz trzydzieści sześć tysięcy nazw części rakiety, wyrzucanych wraz z rakietą w kosmos, ale pozostawiamy je nietknięte jako żelazny zapas dla innych, bardziej kompetentnych kalendarzowych Komisji PAN czy jej roboczych sympozjonów, które być może już rychło będą się zajmować modernizacją przestarzałego obowiązującego w tej chwili wyznacznika naszych czasów.

NATAN SZACHAM

Prawo ŁASKI

Dziewczyna drgnęła. Jakaś ręka prześliznęła się po jej ramieniu i spoczęła na przegubie dłoni. Z mroku wyłoniła się kobieta. Powieki jej były zaczerwienione, ale twarz spokojna.

— Zdrzemnęłaś się, córko? — spytała. Oczy jej zwęziły się, a na policzkach ukazały się zmarszczki. Matowy odcień głosu wyrażał współczucie i miłość, lecz kładł się na serce przytłaczającym ciężarem. Głos ten zdawał się mówić: „Ja bym nie mogła usnąć. Jestem jego matką".

Ranek zakradł się przez szczelinę na pół przymkniętej okiennicy. Musnął kolorowe firanki, błysnął na suficie, wybielił blade karty papieru na otwartej teczce, zaskrzył się na dnie szklanki i rozproszył po złocistych włosach dziewczyny.

Dziewczyna była wzruszająco piękna. Przypominała wystraszoną, skuloną gazelę. Jej duże niebieskie oczy podnosiły się błagalnie ku stojącej nad łóżkiem kobiecie, a po plecach przebiegały raz po raz gwałtowne drgawki. Z czarnych ram na ścianie patrzyła posępna twarz młodzieńca.

Kobieta pochyliła się nad leżącą:

— Czy zjesz coś, Tamaro? Może wypijesz szklankę herbaty? Wczoraj przecież nie tknęłaś talerza...

Przez dwa dni siedziała w tym ponurym mieszkaniu z osamotnioną matką. Nie znała jej wcale. Gdy Udi poległ, a wśród rzeczy jego znaleziono list skierowany do niej — matka odesłała pismo pod jej adresem. Wieczorem przyszli koledzy i oznajmili: „Udi padł na froncie. Jego matka chce cię zobaczyć. Powinnaś pójść do niej!"

Następnego dnia, o wczesnej godzinie, poszła do jego matki. Ta przypatrywała jej się długo: a więc to jest jego narzeczona... Potem wyraziła życzenie, aby dziewczyna przez pewien czas pozostała u nich. Nie mogła jej odmówić.

Pierwszej nocy nie zmrużyła oka. Każde westchnienie obcej kobiety raniło ją boleśnie i napełniało uczuciem grzechu, z którego sama nie zdawała sobie sprawy.

Nazajutrz przyszła do siebie. Czuła się nieco raźniej. Zrozumiała, że wypełnia próżnię w sercu kobiety, która otoczyła ją matczyną opieką. Od świtu do późnej nocy siedziały i mówiły o nim. Kilkakrotnie przychodzili krewni i znajomi. Posiedzieli godzinkę i opuszczali mieszkanie. Nie chcieli przeszkadzać obu kobietom, pogrążonym w rozmowach i rozmyślaniach.

Matka mówiła o jedynaku z miłością i uwielbieniem. Mówiła w czasie teraźniejszym, lecz niekiedy wracała do rzeczywistości i wybuchała płaczem. Dziewczyna panowała nad sobą, chociaż dławiły ją łzy i odczuwała lęk, że lada chwila wyczerpią się jej siły.

W ogrodzie zaskrzypiały kroki. Drzwi kuchni otwarły się, zadzwoniły blaszane bańki. Mleczarz wyszedł. Ulicą przemknęło auto. Z daleka słychać głuche detonacje. Wtóruje im przeciągły skowyt syren. Rozlega się warkot samolotów, huk bomb potężnieje. Obie kobiety milczą — jak gdyby zgodnie rozumiały, że nie należy bać się... Rozmyślają o nim, o bohaterstwie poległych.

Matka wraca do kuchni. Dziewczyna przerzuca teczkę z papierami. Nagle spostrzega, że trzyma w ręku niewysłany list, który tak bardzo chciała przeczytać.

„Szalom...

Prawdopodobnie zdziwisz się, dlaczego ja, z natury tak nieśmiały, zdobyłem się w końcu na odwagę, aby wtargnąć w Twoje młode i spokojne życie.

A było to tak: wczoraj wyruszyliśmy w trójkę na zwiady. Znużeni i wyczerpani osiągnęliśmy nocą szczyt góry. Straciliśmy z oczu właściwą ścieżkę i, układając się do snu, nie wiedzieliśmy nawet, gdzie się znajdujemy. Była to koszmarna noc... Ale ranek wynagrodził nam sowicie cierpienia tej nocy. Okazało się, że przebywamy na wysokim szczycie. Pod nami rozpościerała się wspaniała dolina — dużo wody i dobra, nie uprawiona ziemia. Potem wstało słońce, roziskrzyła się rosa. Czułem się jak odrodzony...

Nagle nabrałem odwagi i postanowiłem powiedzieć Ci, że na podobieństwo tej odległej leżącej, a nie naszej ziemi — i ty, tak urocza i piękna.... Jakże bolesna jest świadomość, że mija choćby jeden dzień, w którym nie przynosisz komuś szczęścia.

To wszystko. Kim jest ten ktoś, domyślasz się chyba sama. A teraz zdany jestem na Twoją łaskę i niełaskę.

EJUD, ZWANY UDI."

List był bez daty. W teczce leżała jeszcze praca naukowa na temat układu warstw gór Hebronu i ich wpływu na gospodarkę wodną. Były tam również naszkicowane czerwonym ołówkiem wykresy i plan obrony gościńca wiodącego do Jerozolimy.

Oderwała oczy od teczki i znów spotkała się z posępnym wzrokiem na ścianie. Dziewczyna usiłowała uzmysłowić sobie pewne szczegóły z minionych dni i nie mogła sobie żadną miarą przypomnieć, kiedy to Udi był mniej powściągliwy lub zamyślony.

Po chwili weszła matka niosąc na tacy dwie dymiące filiżanki i parę kromek chleba z masłem. Przez kilka minut było cicho. Dziewczyna piła herbatę i z dziecinną skruchą odczuwała jej wyborny smak.

— Nie opowiedziałaś mi jeszcze, jak spotkaliście się po raz pierwszy...

Tamara odstawiła szybko filiżankę i zaczęła relację:

— Udi był komendantem naszego oddziału. Pewnego razu powiódł nas w góry...

— Przepraszam, że ci przerywam. Gdzie to było?

— W... Samadrija... w górach Hebronu...

— Dziękuję. Opowiadaj dalej.

— A więc — zabrał nas ze sobą w góry. Był doskonałym przewodnikiem i stale przekonywał nas, że znajdujemy się w najbardziej interesujących i ważnych punktach kraju. Umiał tak pięknie opowiadać różne historie z Biblii i Hagady, z dziejów wypraw krzyżowych i z legend arabskich. Wtedy byliśmy jednak bardzo zdrożeni i nieczuli na piękno przyrody. Senni i półmartwi leżeliśmy na ziemi. Nagle podszedł do mnie i zaproponował: „Jeśli chcesz zobaczyć coś doprawdy wzniosłego, to chodź ze mną..." Weszliśmy na szczyt góry. Wzrok nasz rozpostarł się po całej dolinie, osiągając brzeg morza. Powiedział tylko: „Widzisz tę wspaniałość?" Tak to się zaczęło...

Matka przysłuchiwała się uważnie. Skupiona twarz niekiedy uśmiechała się blado.

— Czy wiesz, jaki on był zdolny? Nie przesadzam bynajmniej, jak to czynią inne matki. Wiem, że często bujał w obłokach. Napełniało mnie to troską. Myślałam: fantasta. Gdy dojrzał, nie chciał się uczyć żadnego zawodu i zaciągnął się do armii. Wątpiłam, czy będzie z niego dobry żołnierz. Sądziłam, że jest za mało zrównoważony. Potem — widząc jego przywiązanie do kraju, do dziejów i geografii palestyńskiej — zrozumiałam, że jest wiernym synem tej ziemi, nawet jeśli zajmuje się estetyką i filozofią.

Podkreśliła te ostatnie słowa, jakby w obawie, że dziewczyna puści je mimo uszu. Ale ta słuchała uważnie i dodała:

— Tak bardzo lubił przechadzki! Niekroć towarzyszyłam mu, szliśmy i szliśmy bez końca. Aż wreszcie spojrzał na mnie i rzekł z uśmiechem: „Czas odpocząć, dziecko. Widzę, że jesteś zmęczona". Był bardzo subtelny.

— Udi jest nad wyraz subtelny. Często myślę o tym, jak poradzi sobie w życiu.

Dziewczyna usłyszała, że matka mówi w czasie teraźniejszym. Znowu opanowało ją uczucie przygnębienia i obcości.

— Powiedz mi... całował cię?

Tamara czuje, jak krew uderza jej do głowy.

— Nie wstydź się... nie ma w tym nic złego... Czy bardzo go kochałaś?

Utkwiła wzrok w podłodze. Chciała dać odpowiedź twierdzącą, ale nie zdołała. Była u kresu sił.

Po południu siedziała i czytała matce jego szkice z dziedziny strategii. Wieczorem nadeszła depesza od ojca — z zapowiedzią przyjazdu.

Minęła bezsenna noc.

W południe zjawił się ojciec — starszy mężczyzna o szpakowatych włosach i silnym, zrównoważonym wzroku. Dziewczyna zrozumiała: oto człowiek, którego nie można okłamać. Ogarnął ją ciepłym spojrzeniem.

— Byłaś narzeczoną Udiego? — pytał z niedowierzaniem, oczarowany jej urodą.

Bez sprzeciwu uległa jego wzrokowi i postanowiła powiedzieć mu prawdę.

Zostali sami.

— Kiedy dowiedziałaś się o tym? — zapytał.

— Koledzy, którzy odwiedzili jego matkę, powiedzieli, że powinnam przyjść...

— Czy otrzymywałaś ostatnio od niego listy?

Wyjaśniła mu wszystko:

— Ten list był pierwszy. Nigdy nie byliśmy sobie bliscy. Nie przypuszczałam, że mnie kocha...

— A więc to, co powiedziałaś mojej żonie... zmyśliłaś?

— Chciałam... pomóc jego matce... Była pewna, że... Ale nie mam już sił! Nie mogę dłużej kłamać...

Wziął ją w ramiona.

— Córko, córko moja... — szeptał.

Nagle ciało dziewczyny zaciążyło mu w rękach. Zemdlała. Głowa opadła do tyłu, a włosy spłynęły po jego palcach.

Przekład z hebrajskiego
HORACEGO SAFRINA

LECH PIJANOWSKI

PRASKA ROZMOWA o filmie

W ciągu ubiegłych mniej więcej dwu lat kinematografia Czechosłowacji zdobyła sobie i utrwaliła w świecie pozycję kinematografii żywej, twórczej, ambitnej i ważkiej. Pozytywne opinie o artystycznej wartości i społecznej wymowie nowych filmów czechosłowackich, potwierdziły się wymownie na różnych międzynarodowych festiwalach filmowych. Na których wiele spośród nich nagrodzono Ta dobra passa trwa do dziś, przez wszystkie niemal festiwale 1964 roku.

W przyjemnym więc położeniu znajdowali się czechosłowaccy krytycy filmowi wobec swoich polskich kolegów, gdy w Pradze w drugiej połowie września, oficjalnie otwarto obrady koleżeńskiego spotkania-sympozjum polskiego i czechosłowackiego Klubów Krytyki Filmowej. Oficjalne otwarcie było zresztą jedyną „oficjalnością" tej imprezy — dyskusja rychło odeszła od gładkich i grzecznych formułek, szczęśliwie przeradzając się w rzeczywistą wymianę różniących się między sobą opinii.

W zagajeniu dyskusji, która poświęcona być miała problemom oceny współczesnej kinematografii polskiej i wiązała się z dobiegającym końca w Pradze „Tygodniem Filmów Polskich" zabrał głos doktor Antonin Novak, który krótko i rzeczowo przedstawił dzieje naszej sztuki filmowej w latach powojennych oraz dzieje filmowych stosunków polsko-czechosłowackich.

W zagajeniu tym znalazły się, jakże potrzebne dla stworzenia właściwej atmosfery w wymianie zdań ostre i szczere sformułowania samokrytyczne (istotnie ani polskiej, ani czeskiej sztuce filmowej i widzom także nie pomógł fakt, iż najwybitniejsze filmy „szkoły polskiej", takie jak „Popiół i diament", „Kanał" i wiele innych, zostały włączone do repertuaru kin Czechosłowacji po raz pierwszy dopiero we wrześniu 1964 roku, w latach poprzednich stanowiąc dziwaczny „owoc zakazany", jawny przykład płaskiego rozumienia społecznej roli filmu i okaz szkodliwego kunktatorstwa). Dzisiaj, gdy sztuka filmowa Czechosłowacji co raz dynamiczniej zajmuje wśród kinematografii socjalistycznych to miejsce, które film polski zajmował niedawno jeszcze, przed kilkoma laty — i w zagajeniu doktora Novaka i w dyskusji kunktatorstwo repertuarowe potępiono, nie czyniąc zeń jednak ani problemu pierwszej rangi, ani też przedmiotu sporu — były bowiem sprawy ważniejsze, które rozszerzyły teoretyczny temat spotkania poza sprawy filmu polskiego, na problemy także współczesnej twórczości czechosłowackiej.

W dyskusji zabierało głos wielu ludzi (ze strony czeskiej: Novotna, Svoboda, Liehm, Boczek, Fiala, Zwoniczek, Piterman i inni; spośród uczestniczących w spotkaniu Polaków: reżyser Tadeusz Chmielewski oraz krytycy Wanda Wertenstein, Zbigniew Klaczyński i niżej podpisany). Protokołowanie dyskusji na pewno nie ma sensu — warto natomiast, jak myślę, zreferować najważniejsze problemy, które się w niej ujawniły.

Antonin Liehm w gorącym wystąpieniu uzasadnił swoją szczególną „teorię fali", którą w skrócie można ująć tak: dzisiaj kinematografia czechosłowacka, jak wiele innych kinematografii w przeszłości (ekspresjonizm niemiecki, radziecka epika rewolucyjna, neorealizm włoski) znajduje się „na grzbiecie fali" rozwoju, na szczycie osiągnięć artystycznych. Trwać tak wiecznie, ani nawet długo, oczywiście nie może — chodzi więc o to, co czynić, by amplituda fali rozwoju była jak najmniejsza; chodzi o to, jak skorzystać z doświadczeń kinematografii polskiej (która na swoim „grzbiecie fali" bezspornie już nie jest), aby móc przedłużyć i pogłębić szanse dalszego rozwoju filmu czechosłowackiego.

Są one duże — chyba większe, niż w podobnej z wielu przyczyn sytuacji, miał film polski.

Sukcesy zarówno polskich, jak i czechosłowackich twórców rozpoczęły się od frontalnego natarcia twórców na niewyeksploatowane, dramatyczne możliwości tematyki wojennej. W Polsce na tym gruncie powstał cykl filmów Andrzeja Wajdy i Andrzeja Munka, dołączyli swoje dzieła i inni twórcy; w Czechosłowacji „Romeo, Julia i ciemność", „Śmierć nazywa się Engelchen", „Transport z raju", nowy, nieznany jeszcze w Polsce, bardzo interesujący film reż. Jana Niemeca „Diamenty nocy" i niektóre inne tytuły to swoisty, równoległy odpowiednik polskiej dyskusji filmowej o bohaterstwie, wojnie, postawie moralnej w czasach śmierci pogardy. Ale podczas gdy u nas „Człowiek na torze" Andrzeja Munka przez kilka lat pozostał jedyną poważną pozycją o zaangażowanej tematyce współczesnej i tej bolesnej luki nasza kinematografia do dziś nie jest w stanie w pełni wyrównać, twórcy czechosłowaccy nie ograniczają swoich zainteresowań nawet w momencie wyjątkowego napięcia i osiągnięć twórczych do tematyki wojenno-okupacyjnej, która wciąż jeszcze tak wiele obiecuje — i równolegle penetrują, z jakże ciekawymi rezultatami, współczesność. Obok „Oskarżonego" reżyserów Jana Kadara i Elmara Klosa (Wielka Nagroda w Karlovych Varach 1964) mamy tu przecież „Czarnego Piotra" reż. Miłosza Formana (nagroda w Locarno 1964), „O czymś innym" reż. Very Chytilovej (nagrodzony kilkakrotnie) i „Figurę do podpierania" reż. Pawła Juraszka (wielka nagroda w Oberhausen 1964). Wszystkie te filmy, przy wielkich różnicach formalnego kształtu i artystycznego wyrazu, są niewątpliwie pozycjami w pełni współczesnymi, zaangażowanymi, ciekawymi. Można im zarzucić (był i taki głos w praskiej rozmowie), że zanadto korzystają z filmowych zdobyczy dawnego surrealizmu i nowych sposobów narracji, że ich błyszcząca forma swoim blaskiem niekiedy dla poważnej części widowni zaćmiewać może fragmenty treści — ale i ten zespół objawów, dość nagły wybuch wielu różnorodnych, nieraz bardzo trudnych w odbiorze stylistyk, można w sensie rozwojowym eksplikować pozytywnie (co w rozmowie czynili niektórzy krytycy czechosłowaccy). Ich zdaniem — którego słuszność zdaje się popierać wiele faktów — mamy do czynienia z grupą debiutów nie jednej młodej, dojrzałej do samodzielnej twórczości generacji twórców, lecz aż dwu pokoleń. To starsze, niejako „średnie" w latach poprzednich nie znalazło ani możliwości samodzielnej pracy, ani właściwej atmosfery twórczej — dzisiaj i młodzi i starsi nieco, właśnie Jasny, Brynych, Forman, Chytilova, Polak, Kalisz i inni, eksplozywnie debiutują, ujawniając różnorodność talentów i różnorodność filmowych „charakterów pisma", której niestety (co podkreślali krytycy czescy) nie podobna w tym natężeniu odnaleźć we wcale przecież niemałej grupie debiutów twórców polskich. Dlatego tak wiele nas pytano o „Rysopis" Jerzego Skolimowskiego i inne, najnowsze polskie filmy; dlatego także problem jak najpełniejszego dotarcia do widza z problematyką współczesną w filmie czechosłowackim przy pomocy stylistyk różnorodnych, ale i takich także, które łatwiejsze byłyby w percepcji, nie obudził wśród kolegów czeskich niepokoju, na który, moim zdaniem, już dziś zasługuje.

Rozumiem ich zresztą — są jednak w lepszej sytuacji; miał bowiem jakąś gorzką rację doktor Novak, gdy w swym zagajeniu stwierdzał, że więcej rzeczywistej współczesności widać na ulicach Warszawy niż we wszystkich polskich nowych filmach razem wziętych. W tym stwierdzeniu można podważyć tylko przymiotnik „wszystkich" — a to zbyt mało.

Rozmowa czechosłowacko-polska, choć krótka (jednodniowa) wykazała, że nasze kinematografie są dostatecznie do siebie podobne na to, by w szczerej atmosferze rzeczywistego zainteresowania móc się w pełni porozumieć oraz, że są one jednocześnie dostatecznie różniące się od siebie na to, by z analizy tych różnic wyniknąć mogły niewątpliwe pożytki dla obu stron. Wypada sądzić, że osobiste kontakty w sprawach filmowych i krytyków i twórców będą nie tylko kontynuowane, ale i rozwijane — choć bezpośredni wpływ takich kontaktów na praktykę twórczości, dość rzadko daje się zauważyć, nikt chyba nie wątpi, że istnieje.

Praskiej dyskusji nikt nie mógł uznać ani za pełną, ani za zakończoną, nie miała zresztą ani takich możliwości, ani takich ambicji. Rozpoczęty dialog będzie trwał, ukonkretniany nowymi premierami filmów czechosłowackich w Polsce i polskich w Czechosłowacji — tak jest chyba normalnie i najlepiej.

STANISŁAW JERZY LEC

Poema przeświecające

Sny
powieką gilotynowane.
Krwi bezhołowie
Baedeker notuje
nutami oddechu
świat odepchnięty
na odległość ręki
w jej dłoni
prawczorajsze paprocie.
Na zgodę
z sobą samym
uderz
dłoń dłonią
szukaj echa w polu
gdzie posiałeś zbierzesz
grudki burz
popioły jakby motyle
kurz otrzepały podróże.
Przez zmrużone powieki
człowiek
na zewnątrz nie wyjdzie
zacięty sen
otwiera szeroko oczy

w siebie.
Tam rzeczywistość
krwi najbliższa
własnej.
Niebo pocięte
na żagle
trzepocę
naszymi rzęsami
w kolorowych barwach
świat —
a to tylko
sztandarów wianie.
Echo —
czkawka przestrzeni
z głodu powtarzało siebie
dzieląc kolumny okrzyków
między entuzjazmy.
A motyle są podobno nieme
z hałaśliwych dni
we mnie cisza
kolorowych płatków.
Z nich dwie powieki może
ocienią barwą
oczy rozwarte
własnym zapytaniem
szkieletem śmierci
wielokroć podkreślony
prześwieca
świeżym bezbarwiem świat.
Czeka naszej tęczówki.

Z tomu pt. „Poema gotowe do skoku", który ukaże się nakładem PIW.

UCIECZKA JEŃCÓW

Książka o życiu Lermontowa ukazuje się u nas trzydzieści lat z okładem później, niż została napisana. Choć tę, nawet już nie zbeletryzowaną biografię poety, ale wręcz powieść, trudno zaliczyć do pozycji najwyższego lotu, należy uznać zwłokę z wydaniem „Ucieczki jeńców" u nas za dużą stratę, gdyż niewątpliwie wnosi wiele nowego do naszej wiedzy o literaturze rosyjskiej, a przy tym jest wartościową pozycją literatury radzieckiej.

Lermontow z powieści jest nieco buńczucznym zawadiaką i jak widać, autor książki nie dla ozdoby zaopatrzył ją w podtytuł „Opowieść o cierpieniach i zagładzie porucznika tengińskiego pułku piechoty". Jest w tej książce Lermontow bardziej oficerkiem niż poetą, za co chwała Bolszakowowi, gdyż podchwytywanie autora „Demona" w chwili tzw. procesu twórczego, byłoby więcej niż niestrawne dla czytelnika.

Na szczęście ambicją autora „Ucieczki jeńców" było ukazanie szerokiej panoramy epoki Mikołajewskiej z jej atmosferą podstępów, intryg i prowokacji. Rysuje więc sytuację Rosji po powstaniu dekabrystów wyrazistą kreską, nie szczędząc nikogo łącznie z postacią tytułową. Czyż bowiem śmierć Michała Lermontowa w dosyć przypadkowym pojedynku nie jest najlepszym potwierdzeniem, że autor „Demona" był dziecięciem epoki, w której mu wypadło żyć, choć dziecięciem utalentowanym i wrażliwym? Podoba mi się także niebrązownicze podejście do wielkiego poety, a sądzę, spodoba się ono i Czytelnikom, toteż mogę „Ucieczkę jeńców" polecić wszystkim bez zastrzeżeń.

K. F.

Konstanty Bolszakow: „Ucieczka jeńców", Wyd. „Czytelnik" 1964, str. 376, cena zł 16. Tłumaczyła Eleonora Słobodnikowa.

MATOŁ

Mając do wyboru życie ułatwione, wygodne i walkę przeciwko wszystkim, cóż wybierze przeciętny zjadacz chleba? Młody nauczyciel w książce Miernika wybiera walkę. Skądś już postać taką znamy, nie na próżno Ryszard Miernik wywodzi się ze stron rodzinnych Żeromskiego. Ale nie dla „Siłaczki" ubranej dla niepoznaki w spódnicę, warto przeczytać tę odważną i mimo wszystko odkrywczą książkę. Bodaj pierwszy raz bowiem, zostało tu dosadnie odmalowane środowisko nauczycielskie, w którym, jak w każdej społeczności znajdują się ludzie wartościowi, mniej wartościowi i mały już w tym potocznym, a nie Miernikowskim rozumieniu.

Ostrość spojrzenia, którym autor objął środowisko nauczycielskie przenosi się na innych obywateli małego miasteczka, oparowanego przez tak dobrze znane nam z reportaży — różne kliki. Jedyną jaśniejszą postacią jest na tym tle sekretarz partii, Twardy i z nim ostatecznie sprzymierza się młody nauczyciel, bohater książki. Aż autorytetu Partii trzeba było do uchylenia decyzji rady pedagogicznej, którą to decyzją została skrzywdzona uczennica Tokarska, posądzona o współżycie seksualne z kolegą szkolnym. Jest to, niestety, obrazek aż nadto dobrze znany nam z codziennego życia; trzeba przyznać, że sojusz nauczyciela z sekretarzem został w powieści zbudowany zręcznie i przekonywająco. Jedynym zgrzytem jest w „Matole" wątek zaczerpnięty z lat pięćdziesiątych naszej literatury, wątek dyrektora szkoły, ex-bandyty. Na szczęście, ma on w wydaniu Miernika nie tylko polityczne, ale i wyraźnie humanistyczne podłoże. Walor ten oraz duży dar obserwacji sprawiają, że debiut młodego kieleckiego działacza kulturalno-oświatowego można bez przesady uznać za udany.

K. F.

Ryszard Miernik „Matoł", „Czytelnik" 1961, str. 115, cena 8 zł.

„KLUCZE DO WYOBRAŹNI"

Wydana ostatnio książka Jerzego Kwiatkowskiego znajdzie niewątpliwie wielu czytelników, szczególnie w kręgu tych osób, które interesują się współczesną poezją polską. Jest to bowiem zbiór esejów omawiający twórczość dwunastu znanych poetów, m. in. W. Szymborskiej, T. Różewicza, S. Grochowiaka, których zbiory poetyckie ukazywały się na przestrzeni ostatniego ćwierćwiecza. Wybór omawianych w tej książce zjawisk artystycznych — jednostronny, był podyktowany niewątpliwie zainteresowaniami krytyka krakowskiego, dla którego miarą wartości poezji jest wyobraźnia poety. Nic więc dziwnego, że tym sprawom poświęca Kwiatkowski w swej książce najwięcej miejsca. Trudno było znaleźć bardziej adekwatny tytuł dla tej książki, niż „Klucze do wyobraźni".

Subtelne to „klucze"; autor pracowicie bada każde omawiane zjawisko, szuka źródeł obsesji poetyckich, posługując się różnymi metodami, szuka ich na gruncie rzeczywistości, w jakiej przyszło poetom tworzyć, jak i na gruncie tradycji poetyckiej. Można podziwiać erudycję i błyskotliwość Kwiatkowskiego. Czasem jednak razi brak pełnej analizy, gdy idzie o zawartość intelektualną poezji. Ale niedosyt ten rekompensuje nam nowatorskie odczytanie tzw. „trudnych poetów", jak choćby Białoszewskiego w zupełnie innym świetle niż pozostali krytycy, kiedy poddaje analizie jego najbardziej trudne wiersze.

J. H. W.

Jerzy Kwiatkowski „Klucze do wyobraźni", PIW, 1964, cena 20 zł.

Przyczynki do rzeczywistości

W opowiadaniach Jana Huszczy nie należy dopatrywać się skomplikowanej i przemyślnie zakrytej symboliki. Nawet metaforyczny z pozoru tytuł — „Kręgi" ma w opowiadaniu tytułowym konkretne znaczenie. To po prostu kręgi mikrospołeczne, małe grupy ludzkie, zjednoczone tym lub owym interesem, niechęcią, przeświadczeniem. Huszcza najlepiej się czuje przedstawiając losy drobnej grupki ludzkiej, jej wzajemne powiązania i konflikty. Jego opowiadania wypełnia zaś atmosfera konkretu.

Określenie „kręgi" ma także znaczenie chronologiczne. Opowiadania odnoszą się do oddalonych od siebie czasem a jeszcze bardziej historią wydarzeń. Są tu więc migawki z wileńskiej wsi, są wspomnienia wojenne i wreszcie sceny z ostatnich czasów. Układają się w określony ciąg wspomnień o wyraźnym podłożu autobiograficznym. Najchętniej też każe Huszcza przemawiać swoim narratorom w pierwszej osobie, snuć wspomnienia, niezaginione drobiazgi. Stepy Kazachstanu, wędrówka na Zachód — to, co ma najbliższy kontakt z poetyką wspomnienia wychodzi tu z reguły najlepiej.

Można by się zapewnie dopatrywać jakiejś konfrontacji czasowej w tych opowiadaniach. Opowiadanie tytułowe upoważnia do tego z całą wyrazistością. To tradycyjna konfrontacja „starego z nowym", ukazywana także przez Huszczę gdzie indziej. Autor relacjonuje zresztą kłopoty, jakie napotkał usiłując ukazać taką konfrontację w czasach schematyzmu („W terenie"). Sama idea konfrontacji przetrwała jednak najwyraźniej. Jest to oczywiście zjawisko chwalebne, rzecz zależy jednak bez reszty od konstrukcji przeciwstawianych bohaterów i szerokości horyzontów. Huszcza ustrzegł się schematu, nie zaprezentował nam techniki czarno-białej, ale mam pewne wątpliwości, czy rzeczywiście pojął istotę konfliktu. W epoce schematyzmu ożywione były jak wiadomo, tylko sylwetki negatywne, natomiast ich argumenty nie miały w sobie nic rzeczywistego. Coś z tego, niestety, przetrwało. Konflikty są budowane w ten sposób, aby rację miał zawsze „bohater naszych czasów" a „wróg ideowy" umie się posłużyć jedynie tanią frazeologią. I, oczywiście, nietrudno wykazać jej nicość. Jest to zresztą choroba, która nie jednego Huszczę nęka.

W istocie rzeczy lepiej nie domagać się od tych opowiadań jakiejś frontalnej dyskusji ideowej. Nie ma tu przecież wcale wielkich a niezbędnych w tym wypadku horyzontów historycznych. Jest za to ludzki los w jego drobnej, namacalnej konkretności. Przecież wcale nie przypadek zadecydował o tym, że ulubionym środowiskiem Huszczy jest małe miasteczko, wieś, peryferyjna okolica. A więc zakamarki pozostające w niejakiej, względnej bodaj izolacji. Najciekawsze opowiadanie „Narodziny miasteczka" jest pod tym względem nader charakterystyczne. Przesiedleni na zachód obejmują opustoszałe miasteczko i przez pewien czas nie mogą się zdecydować na nawiązanie kontaktu z „władzą" (w tym wypadku powiatową). Przebywają w swoim małym, przeniesionym z kresów wschodnich światku. Podobnie gdzie indziej, wszystko odbywa się w łonie jakiegoś określonego mikrospołeczeństwa. Gdybyśmy przełożyli sprawę na język socjologii, to trzeba by powiedzieć, że Huszcza operuje na terenie „grupy pierwotnej", małego środowiska, gdzie wszyscy znają się osobiście. Nie jest to zainteresowanie najbardziej nowoczesne, literatura współczesna bowiem zajmuje się raczej rozpadem takiej cooleyowskiej grupki. Jest to jednak nade wszystko sprawa doboru portretowanego środowiska.

Pozostaje jeszcze sprawa literackiej konstrukcji. Łatwo zauważyć, że utwory Huszczy nie są nowelami, nie spina ich bowiem, żaden konsekwentnie rozwijany ciąg akcji. Obywają się często bez pointy — choć oczywiście nie zawsze. Są to więc raczej „wycinki z życia", fragmenty, migawki. A już bez reszty migawkami są drobne opowiadania zatytułowane „Miniatury". Nie jest to, rzecz prosta, zarzut. Przeciwnie, opowiadania skonstruowane rygorystyczniej, o zamierzonej większej nośności ideowej („Najbliższe strony") nie zaliczają się do najbardziej udanych. O wiele lepsze są te, w których rozstrzyga całkiem niesymboliczny przypadek („Pan Józefat"). Bo przecież największą siłą Huszczy, jak już pisałem, jest właśnie wspominanie, portretowanie, wierne odnotowywanie drobnych osobliwości czasu i miejsca. To właśnie u niego „krąg" decydujący i najciekawszy zarazem.

PIOTR KUNCEWICZ

Jan Huszcza, Kręgi. Łódź 1964. Wydawnictwo Łódzkie, s. 228.

KSIĄŻKI NADESŁANE

✳ W pięknej serii Czytelnika „Poeci Polscy" ukazał się wybór wierszy **MARII PAWLIKOWSKIEJ - JASNORZEWSKIEJ.**

Nakład 20.000 egz., cena 10 zł.

✳ Opowieści filozoficzne LESZKA KOŁAKOWSKIEGO zebrane w tomie „KLUCZ NIEBIESKI" wydał PIW w pięknym opracowaniu graficznym Aleksandra Stefanowskiego. Cena 10 zł.

✳ **JAN MARIA GISGES — BRUDNE ŚNIEGI.**

Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, cena 11 zł.

✳ **JAN PARANDOWSKI — DYSK OLIMPIJSKI**

PIW, wydanie X, cena 20 zł.

✳ **KOPIEC WSPOMNIEŃ** — antologia wspomnień krakowskich. Wyd. Literackie, cena 75 zł.

✳ **RYSZARD MATUSZEWSKI „DOŚWIADCZENIA I MITY".** Obszerny tom esejów krytycznych dotyczących poezji i prozy ostatnich lat.

Wyd. PIW 1964, str. 526, cena 35 zł.

✳ **KORNEL FILIPOWICZ „OPOWIADANIA WYBRANE"**

Wybór najcelniejszej prozy Filipowicza, począwszy od „Krajobrazu niewzruszonego" po opowiadania z tomu „Mój przyjaciel i ryby"; zawiera także trzy nie publikowane w książkach utwory.

Wydawnictwo Literackie, 1964, str. 438, cena 35 zł.

✳ **EUGENIUSZ PAUKSZTA „WRASTANIE".**

Powieść znanego prozaika poznańskiego, autora nagród literackich Poznania, Ziemi Lubuskiej i Wielkopolskiej Nagrody Literackiej. Książka ukazuje proces wrastania repatriantów z Wileńszczyzny w nasze Ziemie Zachodnie.

Wyd. PIW, 1964, str. 578, cena 32 zł.

ROK ŻEROMSKIEGO

Żeromski niepokoił za życia, Żeromski niepokoi po śmierci. Jego dzieło, gorące i pełne pasji, zmusza do zajęcia postawy za, albo przeciw, nie pozwala czytelnikowi pozostać obojętnym. Kiedy rok temu Jan Zygmunt Jakubowski dokonywał oceny powojennej literatury polskiej, za miarę posłużył mu Żeromski jako pisarz zaangażowany w sprawy kraju i społeczeństwa. Na ostatnim lubelskim zjeździe też padło nazwisko autora „Przedwiośnia" jako najwyższego autorytetu obywatelskiej postawy pisarza. Kiedyś w gronie wykształconych czytelników pozwoliłem sobie na kilka uwag krytycznych o twórczości Żeromskiego. Jakże się na mnie rzucono! Żeromski to świętość, Żeromski — sumienie literatury, Żeromski — postać nie do zaatakowania. Chyba żaden inny pisarz polski nie jest otoczony takim kultem, takim nimbem podziwu i adoracji. Ani Prus, ani Sienkiewicz, ani tym bardziej Kraszewski, czy Orzeszkowa, choć bardzo czytani, nie żyją w glorii, jaka od dawna towarzyszy dziełu Stefana Żeromskiego. Ekshibicjonizm i swoisty masochizm jego bohaterów drażnią wielu ludzi, a przecież przechodzi się nad tym do porządku, niezmiennie ofiarowując Żeromskiemu najwyższe miejsce w panteonie narodowego piśmiennictwa. Nasz zmarły kolega, Grzegorz Timofiejew, napisał przed wojną pracę magisterską pt. „Dostojewski i Żeromski". Oczywiście nie trudno dopatrzyć się pewnych podobieństw u obydwu pisarzy. Każdy wnikliwszy czytelnik spostrzeże, że w Ewie Pobratyńskiej z „Dziejów grzechu" jest coś z postaci Gruszy z „Braci Karamazow". I tu i tam, człowiek obnażony do dna, ukazany w całej swej wielkości i małości, bezlitośnie i bez pobłażania. Tyle tylko, że Żeromski nie osiągnął tego stopnia uniwersalizmu, co Dostojewski, i wskutek tego jego utwory, zamknięte w kręgu „losu polskiego", nie utorowały sobie drogi do zagranicznego czytelnika. Stefan Żeromski jest najbardziej polskim ze wszystkich pisarzy polskich, w czym mieści się zarówno jego zwycięstwo, jak i jego klęska. Parę lat temu wydano bodaj we Francji „Ludzi bezdomnych". Przykro było czytać recenzje o tej książce. Nie dopatrzono się w niej nic z tego, co nas poruszało i porusza, co i dziś jeszcze budzi spory wśród pisarzy i wśród czytelników. Żeromski sam sobie zamknął wrota do świata. Jeśli był gdzieś poza granicami Polski czytany i rozumiany, to chyba jedynie w Rosji, gdzie przez czas jakiś miał swoich zwolenników i cieszył się nawet powodzeniem. Ale i tam odstraszała od niego polskość, którą niejeden z krytyków odczytywał jako nacjonalizm. Niesłusznie, rzecz jasna.

W tym roku, roku setnej rocznicy urodzin Żeromskiego, znów powracamy do niego jako pisarza i jako człowieka. Budzi zainteresowanie jego biografia, dzięki rewelacyjnym „Dziennikom", na nowo krytycy odczytują jego powieści, nowele i dramaty. Hanna Mortkowicz-Olczakowa córka wydawcy pism Żeromskiego, wydała wspomnienia i dokumenty pt. „O Stefanie Żeromskim" Artur Hutnikiewicz ogłosił popularną monografię o pisarzu, niestrudzona i wszędobylska Monika Warneńska pośpieszyła z sympatyczną książeczką „Śladami Żeromskiego" o miejscach, w których mieszkał, żył i pisał. Znowu jesteśmy wprowadzeni w krąg Żeromskiego i Żeromszczyzny.

W Polsce nie wystarcza być pisarzem. Nie wystarcza być dobrym, a nawet wybitnym pisarzem. W Polsce pisarz zyskiwał sławę i uznanie ze względów pozaliterackich i pozaartystycznych. W Polsce nie wystarczało pisać i wydawać dzieła, w Polsce pisarz powołany był, a może lepiej byłoby powiedzieć: powoływała go sytuacja i historia tego kraju, do świadczeń obywatelskich, patriotycznych, narodowych. Tenże Żeromski przeznaczał literaturze i pisarzom rolę dobosza, który idąc w pierwszym szeregu zagrzewa do marszu. Żeromski buntował się przeciw tym obowiązkom, ale im ulegał, mało; nie widział innego wyjścia dla pisarza. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w 1918 roku, Żeromski wraz z innymi uległ złudzeniu, że literatura oderwie się nareszcie od swej roli służebnej, że przestanie być doboszem patriotyzmu i obywatelskości. Rychło okazało się, że to tylko złudzenia, że literatura nie może wyrzec się swojej społecznej roli. Nie spełniły się marzenia, nie zrealizowały tęsknoty. Czym że było „Przedwiośnie", jeśli nie dramatycznym dokumentem niezadowolenia i rozczarowania z odzyskanej niepodległości.

Żeromski nas niepokoi. Urządzamy ankiety wśród uczniów szkół licealnych, czy i jak czytają jego utwory, rozpisujemy ankiety wśród uczonych i pisarzy, jak widzą i oceniają dorobek Żeromskiego z perspektywy czasu. Gnębi nas problem Żeromskiego. Zauważcie, że żaden inny pisarz nie absorbuje naszej świadomości tak jak on. Zbliżamy się do niego i oddalamy, denerwuje nas i znieważa, raduje i złości. Żeromskiego nie można oceniać tylko wedle jego dzieł. Żeromskiego ocenia się także wedle jego postawy moralnej. Z Żeromskim jest trochę tak jak z Gorkim: jego pisarstwo i jego życie stanowią dopiero całość, są nierozdzielne, warunkują się i uzupełniają. Mówimy: dobry pisarz, i zaraz dodajemy: piękny człowiek. Sienkiewicz z pewnością bywał poczytniejszy niż Żeromski, ale nigdy nie wzbudzał tak gorącego uznania. Kiedy w końcu dziewiętnastego wieku przyjechał do Warszawy na kilka miesięcy znany i znakomity krytyk duński Georg Brandes, napisał o Sienkiewiczu w swojej później ogłoszonej książce „Polska", że Sienkiewicz zdobył wprawdzie ogromny rozgłos, ale nie jest to bynajmniej umysł pierwszorzędny. Otóż nigdy później nie napisał Brandes czegoś podobnego o Żeromskim, którego stawiał wyżej od autora „Potopu".

Różne mogą być i różne będą losy twórczości Żeromskiego w naszym kraju. Zawsze jednak będziemy wracać do niektórych jego książek, a on sam budzić będzie wciąż żywe i wieczne zainteresowanie, jako pisarz i jako człowiek.

Jan Koprowski

SPEKTAKLE tygodnia

FILM

POLONIA — „Na tropie policjantów" 20 seansów	11 005 widzów	
WISŁA — „Upał" 22 seanse	5 489	„

TEATR

NOWY — „Wicek i Wacek" 4 spektakle	2 500	— 70%
— „Marie Octobre" 1 spektakl	800	— 85%
NOWY (Mała Sala) — „Całe życie" 1 spektakl	160	— 80%
POWSZECHNY — „Piosenka prawdę ci powie" 8 spektakle	1979	— 90%
— „Romeo i Julia" 2 spektakle	1266	— 95%
JARACZA — „Ania z Zielonego Wzgórza" 3 spektakle	2 000	— 100%
7,15 — „Gość z kosmosu" 3 spektakle	804	— 62%
— „Pani prezesowa" 2 spektakle	878	— 100%
OPERA — „Legenda Bałtyku" 1 spektakl	573	— 80%
OPERETKA — „Ułani księcia Józefa" 6 spektakli	5 018	— 82%
FILHARMONIA — Koncert symfoniczny 2 koncerty	309	— 50%
ESTRADA — Występ Helen Shapiro 2 koncerty	14 000	— 95%

Cyfry procentowe oznaczają stosunek widzów do ilości miejsc na widowni.

Notatnik KULTURALNY

5—11. X. 1964 R.

PONIEDZIAŁEK

Właśnie wręczono nagrody laureatom konkursu na powieść, którą ogłosiły: Wydział Kultury WRN i ZLP. Dwie równorzędne nagrody przypadły w udziale Tadeuszowi Chróścielewskiemu za powieść „Szkoła dwóch dziewcząt" i Romanowi Łobodzie za powieść „Podwójny rozdział". Trzecią otrzymał Jacek Wojciechowski za powieść pn. „Poszukiwania", zaś Ryszard Dominiak za powieść „Każdy dzień jest ostatni" — wyróżnienie. Serdecznie gratulujemy. Cenna to inicjatywa taki konkurs, myślę, że to jest dobrze pojęty mecenat społeczny. Pisarze bowiem uwzględniają w swojej twórczości związek bohatera literackiego z regionem i siłą rzeczy piszą o sprawach regionu, fundatorzy nagród mają satysfakcję podwójną, bo nie tylko książki o regionie, lecz także udział w splendorach spadających na pisarzy. Najwięcej korzysta oczywiście czytelnik.

WTOREK

Dziś mija siedemdziesiąta piąta rocznica urodzin Marii Dąbrowskiej. Niedawno odbyły się obchody pięćdziesięciolecia Jej pracy twórczej. Ileż to pokoleń Polaków wychowało się na książkach Marii Dąbrowskiej? Urzekały nas w szkole i później, kiedy staliśmy się dojrzałymi ludźmi. Jest w jej książkach kawał naszej historii i to mądre zamyślenie nad losem człowieka — wszystko co najlepsze, czego oczekuje czytelnik od pisarza, to najbardziej ludzkie. Chylimy czoła, życzymy jeszcze wielu, wielu lat i wielu nowych książek.

ŚRODA

W ciągu ostatnich kilku dni byliśmy świadkami niecodziennego zjawiska — milicjantów obdarowywano kwiatami, młodzież szkolna zbierała do sztambuchów autografy milicjantów. Najwięcej kwiatów dostało się oczywiście elegantom w białych czapkach z Kompanii Ruchu. Również na jubileuszowej imprezie w Hali Sportowej zjawiły się tysiące łodzian, by uczcić dwudziestolecie pracy Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa. O więzi milicji ze społeczeństwem może świadczyć fakt, że były nie tylko kwiaty, a mała dziewczynka ze szkoły nr 73 napisała specjalnie na tę okazję wiersz o milicjantach. Recytowano też inny wiersz — jednego ze znanych łódzkich poetów — co prasa łódzka pominęła w sprawozdaniach milczeniem. Szkoda, bo to przecież dowód więzi społecznej, bardziej namacalny, niż inne deklaracje.

CZWARTEK

Ratuj się kto i gdzie może. Kilka lat temu bodajże w ZMW narodził się potworny termin „klubo-kawiarnie". Pokutuje on zresztą do dziś, najczęściej w audycjach PR. Rekord okaleczania języka polskiego pobito w audycji reklamowej nadanej z rozgłośni warszawskiej, kiedy to spiker zaproponował nam zakupienie „pralko-wirówki!!!". Myślę, że powinniśmy przynajmniej

w audycjach radiowych dbać o języko-poprawność... Tfu, tfu, tfu... Przepraszam, połknąłem bakcyla.

PIĄTEK

Jutro otwarcie Olimpiady w Tokio. Już starożytni w myśl humanistycznych ideałów tamtej epoki — harmonijnego rozwoju człowieka, wprowadzili do programu olimpiad współzawodnictwo nie tylko sportowe, lecz także w dziedzinie sztuki. Praktykowało się wówczas przyznawanie nagród za dramaty, wiersze, utwory muzyczne. Praktykowało się to i w czasach nowożytnych. Komitety Olimpijskie w poszczególnych krajach ogłaszały olimpijskie konkursy literackie, muzyczne, malarskie... Przypomnijmy choćby złoty medal Zbigniewa Turskiego za „Suitę olimpijską", którą nagrodzono na Olimpiadzie w Londynie. Starsi pamiętają jeszcze wiersze olimpijskie Kazimierza Wierzyńskiego poświęcone idei olimpijskiej i sportowi. Niestety, została nam już tylko pamięć, standaryzujemy się, urzeka nas łatwizna i zdrowe łydki. A cóż to będzie ze zdrowym rozsądkiem, kiedy o nim zapomnimy?

SOBOTA

Dziś uroczystości rocznicowe poświęcone Marii Konopnickiej. Zarząd Towarzystwa im. M. Konopnickiej zebrał się, by omówić sprawy popularyzacji wiedzy o poetce i jej twórczości. W X Liceum Ogólnokształcącym im. M. Konopnickiej odbyła się uroczysta wieczornica poświęcona pamięci poetki. Uciekłem się bardzo, więc jednak poezja cieszy się dużą popularnością, skoro działa prężne „Towarzystwo", które kultywuje twórczość — przede wszystkim poetycką M. Konopnickiej. Być może w przyszłości i współczesna poezja będzie cieszyć się większym, niż dziś uznaniem.

NIEDZIELA

W Młodzieżowym Domu Kultury wielki ruch, młodzież oblega salę, jakby tu miała wystąpić co najmniej Helen Shapiro. Zaglądamy do środka — okazuje się, że też impreza estradowa. Dziś po raz pierwszy „Estrada dla wszystkich". Występują recytatorzy, piosenkarze, instrumentaliści i zespoły — wchodzą na estradę wprost z widowni. Bardzo pożyteczna impreza, bo młodzież wychodzi rozśpiewana, jednocześnie oswaja się ona z publicznymi występami na estradzie. Bardzo dobrze, że organizatorzy będą kontynuować tę imprezę i dadzą każdemu młodemu i zdolnemu człowiekowi możliwość wystąpienia na estradzie i popisania się przed publicznością. Jest to jeszcze jedna cenna inicjatywa ruchliwego kierownictwa MDK, której mogłyby pozazdrościć mu instytucje zawodowe.

J. H. WIŚNIEWSKI

Przeczytaj w pociągu

Przeczytaj w tramwaju

Przeczytaj u dentysty

TWARZ Z WOSKU

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

Ruch na szosie był niewielki i Janek z łatwością wyciągał setkę, czasem nawet więcej.

— Szefie — odezwał się w pewnym momencie, choć na ogół odzywał się rzadko — za godzinę będziemy w Kielcach.

— Nie. Nie będziemy — powiedziałem budząc się z zamyślenia. — Kiedy będziemy w Staszowie, pokażę ci gdzie masz skręcić.

— To niby dokąd redaktor chce jechać?

Nie odpowiedziałem, a Janek więcej nie pytał. Na rynku w Staszowie rozejrzałem się uważnie. Miasto zniszczone straszliwie podczas wojny, teraz odbudowało się i zmieniło. Ale poznałem kierunek.

— Tędy — pokazałem ulicę, w którą skręciliśmy. Wkrótce byliśmy na drodze.

Krajobraz zmieniał się. Z prawa zbliżały się ku nam kępy drzew, z początku pojedyncze, potem coraz gęstsze, aż wreszcie wjechaliśmy w las.

— Za piętnaście minut skręcimy w przesiekę — powiedziałem. Janek o nic już nie pytał. To dobrze. To nawet bardzo dobrze. Moja pamięć odtwarzała teraz, może niezbyt wiernie, owe chwile sprzed wielu lat, kiedy znalazłem się we wnętrzu barokowego kościoła. Siwy, niski proboszcz o poczciwym wejrzeniu, wielki miłośnik zabytków i starej sztuki oprowadzał mnie objaśniając obrazy, rzeźby i ścienne malowidła.

— Widzisz — mówił — tu na zewnętrznej stronie stalli jakiś poczciwy mnich, pokorny sługa boży, przedstawił historię porywania zakonnika przez diabła.

Ręka, niewprawna w sztuce malarskiej, naiwnie obrazowała sceny, w których szatan na podwórcu klasztornym ułapił kamedułę za połę habitu, wywrócił mnicha i włókł go po kamieniach. Biedny braciszek szamotał się z piekielną potęgą, aż wreszcie wyrwał się ze szponów szatana — to już chyba na czwartym z kolei obrazie — i biegł teraz zadyszany, w poszarpanym habicie w stronę malutkich zakonnych domków, a diabeł tymczasem zmykał w stronę lasu.

— Te malowidła — tłumaczył mi ksiądz — nie mają oczywiście żadnej artystycznej wartości. Coś jednak dla nas znaczą. Choć ów malarz wykonał to wszystko dość nieporadnie i z perspektywą nie miał najlepszej komitywy, ale mamy tu cały rozkład i rozplanowanie wszystkich budynków klasztornych, tak jak one wówczas, w siedemnastym wieku wyglądały. Jak wiesz, ojcowie kameduli wyprowadzili się następnie z tej głuszy. Został kościół, trochę budynków gospodarczych, tu i ówdzie mur, no i te trzy rozwalające się bramy, trzy, jak we wszystkich kamedulskich klasztorach. Jedną już odrestaurowałem — dodał z dumą.

Przeszliśmy teraz do kaplicy, gdzie znajdował się grobowiec Łukasza Opalińskiego.

Nie pamiętałem dokładnie, co wtedy mówił ksiądz o magnacie. Zdaje się, że wspominał o tym, że ów Opaliński, którego prochy tu spoczywały, wybudował właśnie ten klasztor, wśród gęstych lasów, o kilka kilometrów od najbliższej wsi i osadził w nim kamedułów.

Odczytaliśmy jeszcze napis wyryty po łacinie na marmurowej, czarnej tablicy umieszczonej na ścianie. O ile pamiętałem, był tam zdaje się krótki życiorys i wyliczenie prawdziwych, czy też wątpliwych zasług Opalińskiego oraz wzmianka o jego śmierci na morzu.

— A teraz — powiedział ksiądz tajemniczo — pokażę ci coś.

Weszliśmy do mrocznej zakrystii.

Ksiądz wyjął z szafki jakiś przedmiot i ostrożnie postawił na stole.

— Przypatrz się uważnie!

Było to woskowe popiersie młodej i pięknej kobiety. Głowę przykrywał płócienny, biały i wykrochmalony zakonny kornet. Słońce, gasnąc wśród gałęzi drzew za oknem, rzucało na twarz z wosku czerwonawe światło i dlatego nie sprawiała ona wrażenia martwoty. Rysy kobiety były delikatne i harmonijne. W łagodnym owalu twarzy krył się jakiś nieuchwytny smutek, spotęgowany może jeszcze tym, że w zakrystii panował półmrok. Kornet rzucał cień na wysokie, ładnie sklepione czoło i kształtny nos.

— To żona Opalińskiego — mówił szeptem ksiądz. — Druga żona. Nie znajdziesz o niej wzmianki w żadnym źródle historycznym, ani w żadnym opracowaniu. Ale ja wiem. Nie była szlachcianką, więc Opaliński, choć wówczas wdowiec, nie mógł się z nią jawnie ożenić. Wzięli ślub tu, w tej zakrystii. Po kryjomu. Potem ona mieszkała w leśniczówce. Tam się spotykali, gdy wyjeżdżał w lasy na polowania. A lasy wtedy były tu ogromne i pełne zwierzyny. A kiedy umarł, zwłoki jego sprowadzono, według jego ostatniej woli tutaj, choć znaczniejsze dobra i włości miał w Poznańskiem.

— A ona? — spytałem.

— Początkowo jakiś czas mieszkała tu jeszcze. Odwiedzała codziennie grobowiec męża. Ale wkrótce poszła do klasztoru i tam dokonała żywota. Myślę, że wtedy właśnie, gdy zdecydowała się na ten krok, kazała wykonać tę rzeźbę. Była wtedy jeszcze młoda i jak widzisz piękna.

Teraz już rozumiałem, dlaczego twarz kobiety była tak smutna. Była żoną wielkiego i bogatego magnata, ale nie czekały ją uciechy. Musieli kryć się ze swoją miłością i małżeństwem. Młoda i piękna, wyrzekła się nawet lasu, śpiewu ptaków i wolności, aby w klasztorze spędzić resztę życia.

— Szkoda — powiedziałem.

— Czego szkoda? — spytał ksiądz tym razem głośno.

— Szkoda takiej pięknej kobiety do klasztoru.

Ksiądz nie odpowiedział. Podszedł do popiersia i dość energicznym ruchem wstawił je do szafki. Zatrzasnął drzwiczki i przekręcił klucz.

— Chodźmy! — powiedział krótko.

Kazałem skręcić Jankowi w przesiekę. Wóz potykał się o korzenie i trząsł niemiłosiernie. Nagle zaskoczyła mnie myśl, że nie potrafię oddzielić widoku woskowej twarzy od twarzy Marty. Czy rzeczywiście były do siebie tak podobne? Czy to tylko odległość wspomnień zacierała wizerunki tych dwóch różnych wizji w jedną? I twarz Opalińskiej z twarzą Marty identyfikowała się w jedno oblicze o łagodnym owalu i smutku drzemiącym w delikatnych rysach?

— Szefie! Po jakiego diabła brniemy w ten las?

Wyjrzałem przez szybę samochodu. Nie mogłem już rozpoznać tych drzew, które widziały Martę i mnie. Zarosły leśne ścieżki, po których chodziliśmy.

— Jeszcze trochę — uspokajałem Janka.

— Szefie, resory nie wytrzymają — denerwował się.

Martę ujrzałem po raz pierwszy, kiedy siedziała na klasztornym murku. Była w czarnej sukni. Jej twarz odcinała się delikatną karnacją od tła ciemnej zieleni liści. Zdawało mi się, że była smutna, może tylko zamyślona. Za jej głową czerniał konar dębu. Gdy w parę chwil potem odwróciła się do mnie profilem, na jej rzeźbione rysy kładło się czerwonym, łagodnym blaskiem zachodzące słońce.

— Panie redaktorze — zawołał Janek — długo tak będziemy skakać na tych korzeniach? Po jaką jego pieska niebieską, pchamy się w ten las? Na pustelnika pan redaktor się zapisał? Korzonkami będziemy się tu żywić? Głodny jestem.

Ułagodziłem go kanapką z szynką.

Po paru minutach wjeżdżaliśmy w pierwszą bramę pokamedulskiego klasztoru. Janek prowadził maszynę wolniutko, aby nie podrapać wozu. Przejazd był dość wąski.

Które to miejsce? — myślałem teraz intensywnie. Gdzie ona wtedy siedziała? Na wyszczerbionym murku? Między pierwszą a drugą bramą? Między drugą a trzecią? Gdzie ten dąb? Mur był wtedy wykruszony. Wtedy. Ale teraz był gładki, biały i chyba wyższy. Kazałem Jankowi przystanąć.

Czego ja tu właściwie szukam? Młodości? Miłości? Czy konieczne trzeba minąć aż trzy bramy? Symboliczne kamedulskie bramy, za którymi każdy, kto tu wchodził, odcinał się raz na zawsze od świata żywych? Te bramy i dla mnie stały się niespodziewanie symbolem. Czego? Przecież z Martą już dawno skończone. Jak się to stało? Co było przyczyną rozstania? Przecież kochaliśmy się. Trzeba przejechać przez trzecią bramę, trzeba minąć trzecią bramę — powtarzałem machinalnie w myślach. Brakowało w pamięci jakiegoś ogniwa. Zdawało mi się, że dopiero gdy sklepienie trzeciej bramy przesunie się nad moją głową wyjaśni się wszystko. Nareszcie i ostatecznie.

Janek palił papierosa.

— Jedź! Czemu stoimy? — spytałem.

— Przecież pan redaktor kazał.

Nacisnął starter i maszyna ruszyła. Przejechaliśmy bramę drugą. Minęliśmy dąb. Tak, to ten sam, pomyślałem. Minęliśmy wreszcie bramę trzecią. Samochód zajechał przed kościół, Janek skręcił w prawo i zatrzymał się przed jednym z budynków.

W progu stał ksiądz. Był młody, wysoki.

— Czemu mam zawdzięczać w naszej leśnej głuszy wizytę panów. Jeżeli chcecie zwiedzić kościół...

Wyszedłem z wozu, nie czekając aż skończy. Przywitałem się krótko i powiedziałem:

— Nie, nie będziemy zwiedzać kościoła. Proszę... proszę o pokazanie mi popiersia zakonnicy. To wszystko.

Ksiądz zdziwił się.

— Nie rozumiem. My tu nie mamy żadnego popiersia zakonnicy. Pana chyba ktoś źle poinformował.

— Nie, jestem doskonale poinformowany. Widziałem kiedyś tu tę rzeźbę na własne oczy. To jest popiersie żony Opalińskiego, drugiej żony, oczywiście. Tej, która potem wstąpiła do klasztoru. Rzeźba jest z wosku.

— Ach! — ksiądz uśmiechnął się. — Teraz rozumiem. To o to panu chodzi. No, cóż skoro panu na tym tak zależy...

Skinął na jakiegoś mężczyznę, który przechodził opodal nas, zapewne był to kościelny lub organista. Ksiądz zbliżył się ku niemu. Nie słyszałem co mówił, ale tamten skinął głową i oddalił się. Nie w stronę kościoła jednak.

— Nie wiem, czy pan nie będzie rozczarowany — zwrócił się ksiądz do mnie — ale rok temu mieliśmy poważny remont. Były wtedy ogromne upały. Temperatura dochodziła w słońcu do pięćdziesięciu stopni a nawet powyżej. Pan rozumie.

Nie rozumiałem.

Po chwili wrócił ów mężczyzna wysłany przez księdza. W ręku trzymał zapewne rzeźbę owiniętą w grube, workowe płótno. Odwinął je i postawił rzeźbę na szerokim zewnętrznym parapecie okna.

Cofnąłem się w przerażeniu. Kobieta nie miała na głowie kornetu, a jej twarz, jej twarz, pod wpływem zapewne gorąca, o którym wspominał ksiądz, zdeformowała się tak strasznie, że była maską o grubych, obydnych rysach, złośliwą i szyderczą.

Spojrzałem na księdza z oburzeniem i żalem.

— To tak się tu szanuje cenne zabytki? Dopuścić do zmarnowania cennej, historycznej rzeźby!?

Ksiądz spojrzał na mnie pobłażliwie.

— Drogi panie — odezwał się z lekką nutką ironii w głosie — ta rzeźba nigdy nie była zabytkiem. Opaliński nigdy nie miał drugiej żony. Widzi pan, jeden z moich poprzedników na tej plebanii, wielki miłośnik sztuki, a nawet jej znawca, w tym przypadku nie miał racji. Kiedy przyniesiono mu, zdaje się z leśniczówki, wosko we popiersie kobiety, połączył fakt istnienia woskowej rzeźby z legendą, jaka w tej okolicy uporczywie krążyła. To właśnie ta legenda o rzekomej drugiej żonie Opalińskiego, która po śmierci męża wstąpiła do klasztoru. Ubrał więc figurkę w kornet. Pan rozumie, ta głusza leśna w jakiej się tu żyje, skłania czasem ludzi do ulegania mistyfikacjom.

— Kogo więc przedstawia, kogo przedstawiała — poprawiłem się — ta rzeźba z wosku?

— Kogo przedstawia — ksiądz znów się uśmiechnął. — Kobieta, która służyła jako model do wykonania tej figurki żyje do dziś w najbliższym miasteczku. Bywała tu niegdyś czasami. To podobno jakaś dalsza krewna ówczesnego leśniczego. Ten zaś, jak słyszałem, poza obowiązkami wynikającymi z jego urzędu i polowaniami, dużo czasu poświęcał portretowaniu różnych osób w wosku. Zwłaszcza, jeśli to były piękne kuzynki. Mogę pana ponadto zapewnić, że osoba, która pozowała do tej rzeźby, nigdy nie miała powołania do życia zakonnego.

* * *

Kiedy znów znaleźliśmy się na przesiece, Janek straszliwie zrzędził. Jeszcze nigdy nie był tak gadatliwy.

— Po co mnie pan ciągał po tych lasach? Też pomysły. Jakieś figurki redaktor szuka. Teraz nim zdążymy wyjechać z tego okropnego lasu zapadnie noc. Ładna historia. Niech nam tak resor pęknie. A do diabła! Trzeba było nam zostać już do rana. A pan się uparł. Jechać i jechać. I organista ma taka ładną córkę.

— Skąd wiesz?

— Skąd wiem, skąd wiem — mruczał Janek. — Kiedy pan oglądał te woskową ohydę i dyskutował z księdzem, ja poderwałem babkę. Powiedziała, że się zatroszczy o dobrą kolację i nocleg. A do diabła! — zaklął.

— Fajna babka! — dodał po dłuższej chwili — a w takiej głuszy to każdy chłop...

Nie dokończył, bo wóz podskoczył na korzeniach i Janek z uwagą przywarł do kierownicy.

— Nie miała powołania do życia zakonnego — powtórzyłem zdanie księdza.

— No chyba — dodał z przekonaniem szofer, myśląc, że mówię o córce organisty.

fraszki jana Czarnego

PIORUN I BĘBEN

W bęben uderzył piorun,
nie mógł dokonać lepszego wyboru.

Z OGRODNICTWA

Dla ogrodnika największa wsypa,
gdy dąb zasadzi, a wyrośnie lipa.

Przeczytaj w pociągu

Przeczytaj w tramwaju

Przeczytaj u dentysty

Lewym okiem

BYLE CO

Im lepiej znamy i rozumiemy świat, tym trudniej jest cośkolwiek na tym świecie zrozumieć. Dawno przestała obowiązywać zasada starego Greka, że jednej i tej samej rzeczy nie można jednocześnie przypisać i odmówić tej samej cechy. Jeśli jest biała, to nie może być jednocześnie nie biała? Zależy. Jeśli coś jest prawdą, to nie może być jednocześnie nieprawdą? E, tam. Uwzględnijcie przy tym przyjaciele, układ odniesienia, nacisk bytu na świadomość, sprzężenia zwrotne i dialektyczność kryterium prawdy. Nie jest więc tak, że ktoś kłamie, a kto inny mówi prawdę. A jeśli tak nie jest, to w ogóle machamy ręką na wszystko i mówimy byle co, bo przecież jakaś część z tego może się okazać prawdą.

Mówimy coraz więcej i coraz bardziej byle co. Na każdej naradzie, konferencji, zjeździe, odprawie, posiedzeniu — musi zabrać głos każdy uczestnik. Musi. Inaczej przecież nie powinien był uczestniczyć, jego udział był błędem, po co zaraz przyznawać się do błędu. Gorzej: milczący, a może nawet myślący w tym milczeniu, człowiek, przestaje istnieć, nie ma go ani w żadnym protokole, ani w niczyjej pamięci. Wstaje więc i mówi, wszystko jedno co, lepiej źle niż wcale, lepiej głupio niż mądrzej od prezesa.

Nikt dotychczas nie wkalkulował w koszt naszego podnoszenia stopy życiowej — kosztów niepotrzebnej gadaniny. To można zrobić. Jeżeli w zjeździe bierze udział czterdzieści osób przez trzy dni, to łączny koszt delegacji wyniesie czterdzieści tysięcy złotych, a ze zjazdu przeważnie nic nie wyniknie. Oczywiście, to jest mała cząstka rachunku. Bo jeszcze należałoby uwzględnić konsekwencję słów, rzucanych niefrasobliwie na wiatr, wszędzie i wciąż, nieprzerwaną Niagarą, monstrualnym szumem, w którym nikt z żadnymi kryteriami ani układami odniesienia się nie liczy. Mówmy! Jakaś cząstka tego harmideru okaże się na pewno potrzebna i prawdziwa, ale to oceni dopiero przyszłość. A żyć trzeba już. A żeby żyć trzeba gadać.

Niektórzy żyją nawet wyłącznie z gadania, za to im się płaci. Niby powinno by się za tę zapłatę żądać dobrego towaru, ale dlaczego akurat w tej jednej branży towar ma być dobry? Poza tym płaci kto inny, a towar bierze kto inny. Bierze za darmo. Czort z nim.

Domyślacie się już, że mówię o różnego rodzaju punktach informacyjnych. Przesiedziałem już kiedyś osiemnaście godzin pod daszkiem rynkowej studni w Nidzicy, bo informatorka PKS w Łodzi, podając mi godziny odjazdów autobusów do Jabłonki, nie powiedziała, że autobusy te chodzą tylko w niektóre dni. Pani ze Spółdzielni lekarzy skierowała mnie kategorycznym tonem na Piotrkowską 85 celem dokonania analiz, różnych takich, wiecie, w godzinach 12—15. Pani z tej samej Spółdzielni, z oddziału przy Piotrkowskiej 85, zdziwiła się tylko wytwornie: „skoro ja nie wiem, kiedy tam przyjmują lekarze, to ona może przecież nie wiedzieć, kiedy tu przyjmuje się analizy". Rzuciłem wszystko o ścianę. Mogła nie wiedzieć, mogła nie mówić; powiedziała byle co — a nuż się okaże prawdą?

Na Dworcu Kaliskim podadzą ci inne godziny, w Orbisie inne. Wszystko z pamięci i wszystko tonem, budzącym całkowite zaufanie. W takim czy innym biurze każą przyjść za tydzień po załatwioną sprawę, wcale nie wiedząc, czy i kiedy będzie załatwiona. Tak sobie, co to szkodzi. — Pójdzie pani z dzieckiem i tam od razu prześwietlą — powie siostra pełna miłosierdzia pod białą bluzką. A tam nie tylko nie od razu, ale w ogóle nie tam, tylko gdzie indziej, kiedy indziej, na zapis, za kolejką, dziecko głodne, matka zła, z pracy zwalniać nie chcą.

Kochani, znacie to przecież. Jedna zegarynka informuje ściśle, szkoda tylko że coraz ciszej. Więc co, posadzić wszędzie zegarynki?

Jest lepsza rada. Nawet tysiąc rad. Za dobre słowo jestem gotów przystąpić do ich udzielania — któraś z nich może się przecież okazać całkiem do rzeczy.

ĆWIEK

Komitet redakcyjny: Halina Bekowa, Wacław Biliński (red. naczelny), Konrad Frejdlich, Wanda Karczewska, Jarosław Marek Rymkiewicz, Włodzimierz Stokowski. Kolegium: członkowie komitetu redakcyjnego oraz Lech Budrecki, Zbigniew Faliński, Jan Koprowski, Maria Kornatowska. — Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" — Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4; kwartalnie zł 12. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. — Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy". Druk: RSW „Prasa" — Łódź Żwirki 17. Zam. 3134 X. 64. F-13.